



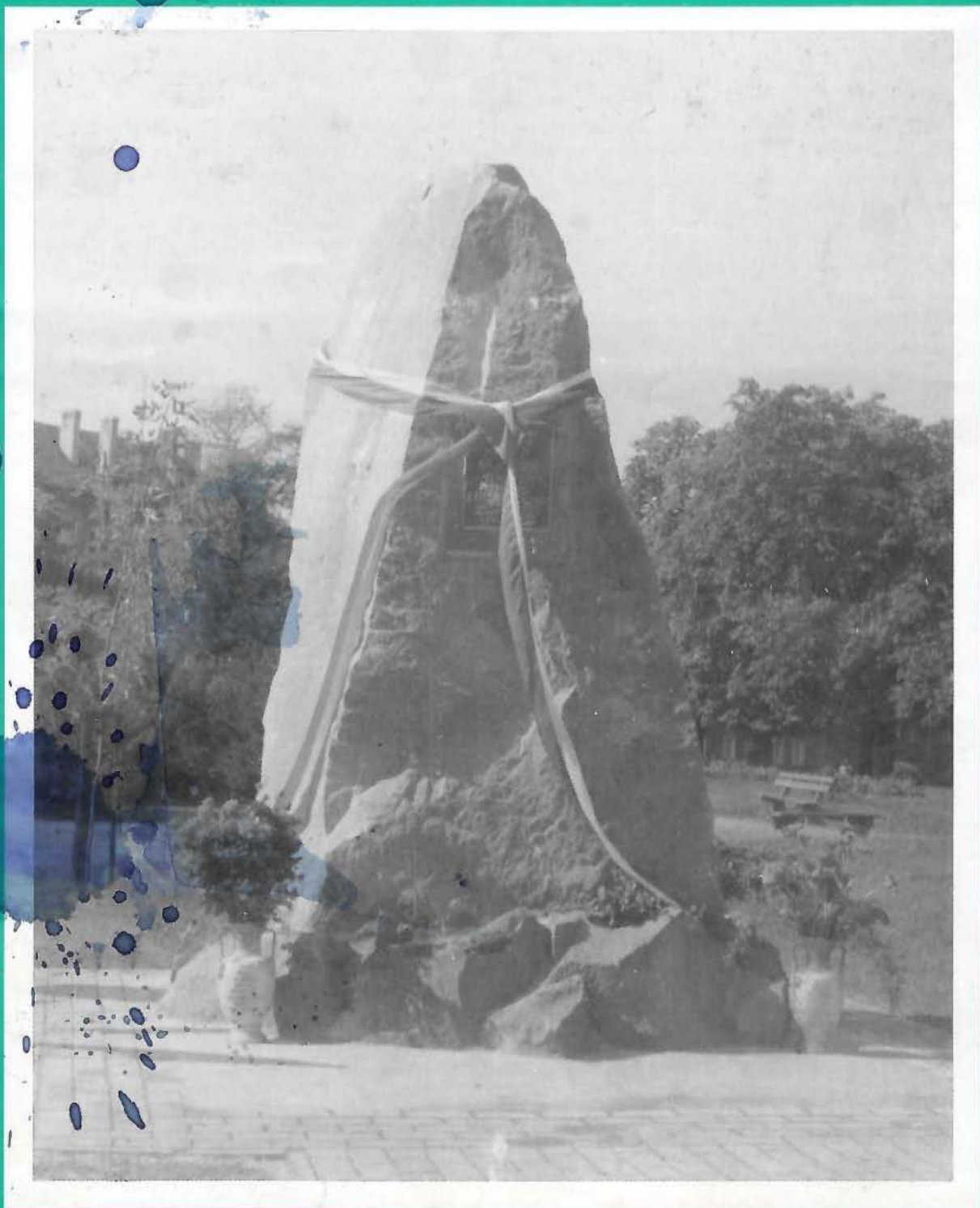
SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

STYCZEŃ - LUTY
1996

1 (30) 1996

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



DANUTA NESPIAK	
Pani Krystynie z szacunkiem i podziękowaniem	1
WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI	
Konspiracja Obszaru III — Lwów(cd.)	2
KONRAD SURA	
Pierwsze zetknięcie się polskiej młodzieży szkolnej we Lwowie z sowieckim systemem w roku 1939	5
JERZY MAKOWSKI	
W obronie Kresów	6
KAZIMIERZ SAWICKI	
Lwów, AK 1941-1943	7
LEOPOLD SWADOWSKI	
Jak Polak ma zostać Polakiem?	9
JANINA KONDZIOLA	
Wspomnienia lwowskiej harcerki z pracy konspiracyjnej w czasie wojny	10
LEON POPEK	
Konspiracyjna prasa lwowska	11
KRYSTYNA GORCZYŃSKA	
Listy od wywiezionych	12
JERZY MASIOR	
Do ciebie, ojczy, dziś się modłę	16
WŁADYSŁAWA DYRCZ	
Ks. Bela Varga — wielki przyjaciel Polaków	17
STANISŁAW CIESIELSKI	
Kazachstańskiej zsyłki dni pierwsze	18
DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ	
Echa Gwiazdki	19
LUDWIKA CASTORI-DĄBROWSKA	
Moi kochankowie (cd z poprzedniego numeru)	20
ZDZISŁAW J. ZIELIŃSKI	
Dwie fotografie (dokończenie z poprzedniego numeru)	22
TADEUSZ DOBRZAŃSKI	
Taka to nasza telewizja...	25
TOMASZ M. ZABIEGA	
Młodzi na emigracji	26
J. DEREŃ de CORNELIAN	
Sonety Podola	29
Wśród książek i czasopism	31
Z życia Towarzystwa i zaprzyjaźnionych organizacji	33
Nasi Czytelnicy piszą	35
Z żalobnej karty	38

Na okładce: Pomnik Polaków Przesiedlonych z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w Bolesławcu (czyt. na str. 34)

Redaguje Kolegium w składzie: Krzysztof BULZACKI, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMIŃSKI, Danuta KOTOWICZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Jerzy PETRYŃSKI, Leszek SAWICKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Danuta TABIŃSKA-JUHASZ, Jan ZIEMBICKI

Redakcja: Zdzisław OJRZYŃSKI, (red. naczelny), Jerzy PETRYŃSKI

Redakcja techniczna: Romuald LAZAROWICZ, Małgorzata WANKE-JAKUBOWSKA, Małgorzata WANKE-JERIE

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33 I p., skr. poczt. 1042 Wrocław 2, tel. 44-88-93

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3

Prezes Fundacji: Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Autorów piszących na komputerze prosimy o nadsyłanie dyskietek.

W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Pani Krystynie – z szacunkiem i podziękowaniem

Danuta Nespiak

Nim przejdę do meritum sprawy – kilka refleksji ogólnych. Moja Polska, która istniała w czasach mojego konspiracyjnego lwowskiego harcerstwa i AK, a później broniła się prawie pół wieku przed komunistyczną trucizną, broni się nadal do dzisiejszego dnia przed tym, by nie zamieniono ją w znikczymie społeczeństwo rządzone przez zawsze obecnych w historii faryzeuszów, których Chrystus potępił słowami „...na zewnątrz wydajecie się ludziom sprawiedliwi, wewnątrz zaś jesteście pełni obłudy i bezprawia” (Ewangelia wg św. Mateusza 24,28). W Polsce istnieje olbrzymia grupa ludzi, którzy nie pogodzili się z wynikiem wyborów i nie wskazują nic na to, że kiedykolwiek zaakceptują nowego prezydenta, który wytrwale deklarował, że ma dyplom wyższej uczelni i który ze zdumiewającym uporem podkreśla swoją wieloletnią znajomość i ciepłe związki z b. premierem tej „oficjalnej” III RP. Były premier został obciążony ciężkimi zarzutami o współpracę z obcym wywiadem, a w dodatku do niedawna występował publicznie jako adwokat we własnej sprawie. „Skrzywdzonego” podobno przez służby specjalne b. premiera SdRP wybrała na przewodniczącego partii. A jest to partia o błyskawicznym porodzie z podejrzaną akuszerką i przy jej narodzinach był obecny nowy prezydent. Partia, która w bezprecedensowy sposób usiłuje przywłaszczyć sobie rolę jaką w naszej XX-wiecznej historii w walkach o niepodległość i wolność odegrała PPS. SdRP jest spadkobierczynią PZPR, która zawsze zakłamywała wszystko, której program polityczny chciał wykreślić z pamięci narodu Kresy Wschodnie, która w miejsce patriotyzmu włączała z faryzejską obłudą internacjonalizm jako obowiązującą wykładnię obywatelską. Perelowscy internacjonalisci żyją sobie całkiem wygodnie w „oficjalnej III RP”, niekiedy wręcz luksusowo. Nazywają siebie socjaldemokratami.

Wielu z nas głosowało w II turze na Lecha Wałęsę tylko dlatego, że był jedynym kontrkandydatem A. Kwaśniewskiego. Wałęsa jako prezydent zawiódł boleśnie nasze oczekiwania – może zwłaszcza nas, pochodzących z Kresów, apelujących do niego o powołanie funkcji pełnomocnika ds. Polaków na Wschodzie. Nie uczynił tego, nie powołał nawet wśród wachlarza swoich prezydenckich rad – rady ds. pomocy dla nich – od Kazachstanu po Mejszagolę Wileńską i lwowskie Mościska. A jest jeszcze problem Zaolzia. Chętnie byśmy mu wtedy pomogli. A teraz – teraz w Polsce pp. Michników, Malachowskich, Kuroniów (opozycja?) „socjaldemokratów” Oleksych, Millerów, Jaskierni itd., eleganckich feministek prezentowanych w „Twoim Stylu” „kochających inaczej”, samozwańczych intelektualistów. Żyją tacy zwykli ludzie, co starają się pracować uczciwie dla tej rzeczywistości, co się zwie „dobrem wspólnym”. Niezauważeni, nieposzukiwani przez szukających rozmaitych sensacji, konkurujących dziennikarzy mass-mediów. Czy jednak są to tylko zwykli ludzie?

Do redakcji „Semper Fidelis” na ręce naszej koleżanki D. Tabińskiej-Juhasz przyszedł list. D. Tabińska-Juhasz w swoim artykule „Jak dla Lwowa, to jedź kochaniutka” (W Semper Fidelis nr 6/95 s. 35) napisała, że zgorzonna była generalną niewiedzą młodzieży o istnieniu cmentarza Obrońców Lwowa i że przemilczana część historii Polski w ostatnim 50-leciu owocuje. List był z załącznikiem prac uczniów kl. V d ze szkoły podstawowej nr 5 w Śremie. W liście tym uczniowie napisali: Nikt z naszych dziadków nie pochodzi ze Lwowa, gdyż jesteśmy Wielkopolaninami z dziada-pradziada. Ale nasza nauczycielka jęz. polskiego, historii, geografii, muzyki i plastyki... zna dobrze Kresy Wschodnie i dlatego mieliśmy cykl lek-

cji poświęconym Orłom. Wiedzę tę chłoniliśmy i byliśmy wzruszeni postawą patriotyczną młodzieży, która w 1918 roku stanęła do walki z Ukraińcami o Lwów. Orlecia są dla nas wzorem patriotyzmu i wszelkich cnót, które chcielibyśmy naśladować. Ich nauczycielką, realizującą program autorski jest p. mgr Krystyna Wojciechowska. Dopisała słów kilka do listu uczni, że jest „...duchem Wołynianką, urodzoną k. Wrocławia po wojnie”. „W mej pracy dydaktyczno-wychowawczej kładę ogromny nacisk na wychowanie patriotyczne, które jako historyk z wykształcenia realizuję na każdej lekcji... W ubiegłym roku mając możliwość realizacji programu autorskiego, przeprowadziłam także cykl lekcji dot. polskiej kawalerii. Dzięki wprowadzeniu elementów zabawy (każdy dostał przydział do jednego z pułku jako rotmistrz) znają do dziś wszystkie pułki. Najbardziej dumny był chłopiec jako ułan Jazłowiecki, po obejrzeniu programu St. Auguścika o ułanach Jazłowieckich”. Pani mgr Krystyna Wojciechowska przysłała kilka prac swoich uczniów. W liście zaznaczyła, że zostały one napisane podczas klasówki bez jej ingerencji i były jednocześnie wspomnieniem, wspomnieniem odbytej w lipcu ubiegłego roku wycieczki ze Śremu do Lwowa.

A oto wypracowanie Krzysia:

Kochanie Krystyno, nie pamiętam dokładnie, kiedy powstała historia Orlecia. W moim domu mówią, że historia Orlecia była zrodzona w czasie wojny. Wtedy walczyli Polacy, a nie Ukraińcy. Orlecia są dla nas wzorem patriotyzmu i wszelkich cnót, które chcielibyśmy naśladować. Ich nauczycielką, realizującą program autorski jest p. mgr Krystyna Wojciechowska. Dopisała słów kilka do listu uczni, że jest „...duchem Wołynianką, urodzoną k. Wrocławia po wojnie”. „W mej pracy dydaktyczno-wychowawczej kładę ogromny nacisk na wychowanie patriotyczne, które jako historyk z wykształcenia realizuję na każdej lekcji... W ubiegłym roku mając możliwość realizacji programu autorskiego, przeprowadziłam także cykl lekcji dot. polskiej kawalerii. Dzięki wprowadzeniu elementów zabawy (każdy dostał przydział do jednego z pułku jako rotmistrz) znają do dziś wszystkie pułki. Najbardziej dumny był chłopiec jako ułan Jazłowiecki, po obejrzeniu programu St. Auguścika o ułanach Jazłowieckich”. Pani mgr Krystyna Wojciechowska przysłała kilka prac swoich uczniów. W liście zaznaczyła, że zostały one napisane podczas klasówki bez jej ingerencji i były jednocześnie wspomnieniem, wspomnieniem odbytej w lipcu ubiegłego roku wycieczki ze Śremu do Lwowa.

gen. Roman Plechacz i gen. Aleksander Boruta - Główni dowódcy
Orlecia są dla nas wzorem patriotyzmu i wszelkich cnót, które chcielibyśmy naśladować. Ich nauczycielką, realizującą program autorski jest p. mgr Krystyna Wojciechowska. Dopisała słów kilka do listu uczni, że jest „...duchem Wołynianką, urodzoną k. Wrocławia po wojnie”. „W mej pracy dydaktyczno-wychowawczej kładę ogromny nacisk na wychowanie patriotyczne, które jako historyk z wykształcenia realizuję na każdej lekcji... W ubiegłym roku mając możliwość realizacji programu autorskiego, przeprowadziłam także cykl lekcji dot. polskiej kawalerii. Dzięki wprowadzeniu elementów zabawy (każdy dostał przydział do jednego z pułku jako rotmistrz) znają do dziś wszystkie pułki. Najbardziej dumny był chłopiec jako ułan Jazłowiecki, po obejrzeniu programu St. Auguścika o ułanach Jazłowieckich”. Pani mgr Krystyna Wojciechowska przysłała kilka prac swoich uczniów. W liście zaznaczyła, że zostały one napisane podczas klasówki bez jej ingerencji i były jednocześnie wspomnieniem, wspomnieniem odbytej w lipcu ubiegłego roku wycieczki ze Śremu do Lwowa.

Krzysztof Chlebowski
kl. V d. 07.09.95
107 11

Jestem dumna, że miałam kiedyś takich nauczycieli jak pani Krystyna. Obawiam się, że nasze feministki i spece od reformy nauczania i wychowania mają inne zdanie – dla niemałej części ich przedstawicieli ważniejsza od kształtowania postaw patriotycznych jest edukacja seksualna i deprawowanie młodzieży „bezpiecznym seksem”. Pobłyskują nazwiska z „elity” z pierwszych stron czarno-białej i kolorowej prasy. Niestety.

Konspiracja Obszaru III — Lwów

WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI
(Wojciech Myślenicki)

(cd. z numeru poprzedniego)

DRAMAT EMILA MACIELIŃSKIEGO

W organizacji pułkownika Żebrowskiego aresztowano w styczniu komendanta Dzielniczy Zachodniej, majora Emila Macielińskiego, który po kilku dniach został wypuszczony i nadal pełniąc obowiązki komendanta – zaczął być podejrzewany o współpracę z NKWD. Drugi raz aresztowano go w marcu i po dwóch dniach zwolniono. W końcu kwietnia przetrzymano go trzy dni i też zwolniono.

Macieliński był powstańcem wielkopolskim, podczas wojny z bolszewikami w dwudziestym roku odznaczony orderem *Virtuti Militari*, w powrześniowej konspiracji miał opinię sprawnego organizatora.

Z późniejszej relacji płk Roweckiego wiadomo, że „popierała go część obozu narodowego, reprezentowana przez liczne grupy młodzieży endeckiej”. Dlaczego aż trzy razy był aresztowany i zwalniany?

Powszechny jest pogląd, że polskie organizacje konspiracyjne były zinfiltrowane przez wywiad sowiecki, ale większość aresztowań dokonywano nie w rezultacie sprawnej działalności sowieckiego wywiadu, lecz w następstwie donosów entuzjastów ówczesnego „radosnego i szczęśliwego życia pod słoncem stalinowskiej konstytucji”.

Pierwszy raz aresztowano go zapewne po dłuższej obserwacji, gdy już nie było wątpliwości, że był komendantem. Další ciąg łatwo sobie wyobrazić. Przedstawiono mu dowody i domagano się współpracy. Gdyby kategorycznie odmówił – już po tym pierwszym aresztowaniu nie wyszedłby z więzienia. Zdekspirowany, mógł stwarzać pozory jakiegoś kompromisu, mógł coś obiecywać, może nawet wyrażał zgodę na współpracę. Aby tylko wyjść...

Powtórne aresztowanie, w marcu świadczy o majorze Macielińskim, że nie spełnił poprzednich obietnic, jeśli jakieś dawał. Jeszcze raz go wypuścili. Trzecie aresztowanie świadczy, że do końca kwietnia nie był współpracownikiem NKWD. przetrzymano go trzy dni. Ale, czy wyszedł za obietnicę współpracy – to mogą być tylko domniemania.

W sprawozdaniu z 2 września dla generała Sosnkowskiego generał Rowecki pisał o majorze Macielińskim: „W maju alarmowałem mnie, że dalej nie może pracować i wraz z Władysławem Żebrowskim przebijając się będzie na Węgry. Zabroniłem mu tego stanowczo”.

Generał Rowecki na prośbę Macielińskiego zareagował w podobny sposób w jaki gen. Tokarzewski postąpił z nim gdy we wrześniu 1939 r. prosił o pomoc w przedostaniu się do Francji.

Pytanie – czy gen Rowecki zabroniłby Macielińskiemu w wyjeździe za granicę, gdyby ten powiadomił go o swych aresztowaniach przez NKWD?

Gdyby zaś Macieliński czuł się zagrożony przez NKWD – z pewnością nie prosiłby gen. Roweckiego o pozwolenie na wy-

jazd, lecz wyjechałby bez zezwolenia jak to zrobił jego komendant płk Władysław Żebrowski.

Trzecie aresztowanie nastąpiło jako ostrzeżenie i przekonania go co go czeka, jeśli nie będzie wywiązywał się ze swoich zobowiązań. Miało mu też jednocześnie udowodnić, że NKWD ma długie ręce przed którymi nie ma ucieczki.

Po tych aresztowaniach do końca okupacji sowieckiej Macieliński nie był już więcej niepokojony. (red.).

BRZYDOTA I NIEŻOŁNIERSKOŚĆ

Rozgrywki polityczne w konspiracyjnych organizacjach wojskowych w lutym 40 roku wydają się przykrym paradoksem wobec nieszczęścia masowych wywozów ludzi na przekłętą Wschód. We Lwowie pierwszy raz dokonano tej zbrodni w nocy na 10 lutego. W komendzie głównej w Angers dłuższy czas nie o tym nie wiedziano. Najważniejszym lwowskim problemem był tam.. generał Karaszewicz-Tokarzewski.

2 lutego komendant główny ZWZ, generał Sosnkowski, w piśmie skierowanym do Tokarzewskiego, wyjaśniając powody przeniesienia go do Lwowa – informował: „Organizacja na terenie okupacji sowieckiej, w szczególności w Małopolsce, jest nadszarpnięta przez wyspy i aresztowania i praktycznie od dłuższego czasu pozostaje bez komendy (...) doprowadzenie jej do porządku wymaga doświadczonego i sprawnego organizatora, którego widzimy w Waszej osobie⁽¹⁾”.

Tydzień później, w meldunku z 18 lutego, płk Rowecki, najoczywiej nie wiedząc co się dzieje we Lwowie (łącznie wciąż funkcjonowała fatalnie) przedstawił tymczasową obsadę Obszaru: komendant – generał Tokarzewski, szef sztabu – płk Klemens Rudnicki, komendant Okręgu Lwów – ppłk Jan Sokolowski⁽²⁾.

25 lutego, w drodze do Lwowa, aresztowano płk Rudnickiego i w nocy na 7 marca – generała Tokarzewskiego.

W meldunku z 15 kwietnia Rowecki pisał do Sosnkowskiego: „W wyniku rozkazu Komendy Głównej generał Tokarzewski przeszedł granicę w ciągu sześciu tygodni nie doszedł do Lwowa.

Mamy wiadomość, że został przez bolszewików aresztowany”. I dalej: „Obszar Nr 3: Z naszego ramienia dowodzi ppłk Jan Sokolowski ze sztabem. Równolegle organizuje płk Żebrowski (...) duże trudności i tarcia między tymi organizacjami”.

Okoliczności swego aresztowania Rudnicki opisał w książce „Na polskim szlaku”, Tokarzewski – w relacji pt. „U podstaw tworzenia Armii Krajowej”.

Zastanawiając się, kogo miałby oskarżać, jako sprawcę swego dramatu, Tokarzewski napisał: „Zresztą, gdybym nawet oskarżał, to nie o fakt odebrania mi dowodzenia, a nawet nie o bezmyślność rozkazu przeniesienia do Lwowa, gdzie w nasileniu działalności NKWD każdy bez mała lwowianin mógł mnie rozpoznać i przed kimś nieuważnie o tym wygadać.. „Oskarżenie moje – którego nie wnoszę ani też nie wnoszę – dotyczyłoby tylko brzydoty, nieżołnierskości sposobu, w jakim mnie usunięto”.

(1) AKD t „I” Nr 18

(2) AKD t „I” s. 123.

O Rudnickim, z którym miał się spotkać we Lwowie w końcu lutego – napisał „Spotkaliśmy się nieco później, bo dopiero w sierpniu w 1940 w Dniepropietrowsku (...) Dostałem wtedy 5 lat „łagru” i powieźli mnie „na białe niedźwiedzie”. (Przebywałem w obozie pod Archangielskiem, a następnie w więzieniu na Łubiance)”.

NIEFORTUNNA MISJA PSTROKOŃSKIEGO

11 marca generał Sosnkowski (nie wiedząc o aresztowaniu przed czterema dniami generała Tokarzewskiego) przekazał pełnomocnictwo dla ppłk Stanisława Pstrokońskiego, który – na rozkaz Naczelnego Wodza – wysłany został do Lwowa w charakterze p.o. pełnomocnika komendanta okupacji sowieckiej. Głównym zadaniem Pstrokońskiego miało być „dopomożenie ppłk Władysławowi Żebrowskiemu i generałowi Tokarzewskiemu do jak najszybszego uporządkowania na miejscu spraw organizacyjnych i personalnych ZWZ i innych organizacji wojskowych⁽¹⁾”, a także „zmontowanie Obszaru Nr 3”.

Ppłk Pstrokoński pracował w Komendzie Głównej ZWZ w Paryżu. Jego podróż do Lwowa trwała prawie dwa miesiące. W połowie kwietnia przybył do Warszawy, zameldował się u Roweckiego, okazał pełnomocnictwo i wspólnie uzgodnili plan działania i zmiany personalne. Plk Rowecki „przewidywał pułkownika Klemensa Rudnickiego na komendanta, pułkownika Żebrowskiego na zastępcę, reszta jak dotychczas”.

Jeśli po aresztowaniu Tokarzewskiego – jak w meldunku z 15 kwietnia pisał Rowecki do Sosnkowskiego – „dowodził ppłk Sokołowski ze sztabem” można się domyślać, że głównym zadaniem Pstrokońskiego było usunięcie Sokołowskiego ze stanowiska komendanta Obszaru i obsadzenie na tym stanowisku plk Rudnickiego. Przyczyny – polityczne, oczywiście. Sokołowski był przecież legionistą i pilsudczykiem, a Rudnicki – nie był...

Niesamowite były kłopoty w łączności. Zdarzało się, że tygodnie mijały, zanim jakaś ważna wiadomość dochodziła do adresata. W czasie, gdy Pstrokoński z Roweckim planowali zmiany personalne w sztabie Obszaru – plk Rudnicki, aresztowany w nocy na 25 lutego, już ponad sześć tygodni był w rękach sowieckich.

Do Lwowa przybył Pstrokoński „ok. 8 maja”, spotkał się z Sokołowskim i Klotzem, którzy go „ostrzegli o możliwości prowokatorskiej roli Macielińskiego” i znalazł się w sytuacji jakiej nie mógł się spodziewać.

ZADZIWIAJĄCA KARIERA MACIELIŃSKIEGO

3 maja plk Stefan Rowecki został mianowany na generała brygady, major Macieliński – na podpułkownika.

5 maja generał Sosnkowski podporządkował przejściowo komendę Obszaru Nr 3 komendantowi okupacji niemieckiej, generałowi Roweckiemu (świadczy to najoczywiściej o mających nastąpić ważnych decyzjach), a 15 maja premier i naczelny wódz, Władysław Sikorski mianował Emila Macielińskiego na p.o. komendanta Obszaru i oddał pod jego dowództwo wszystkie organizacje wojskowe istniejące na terenie Małopolski Wschodniej i Wołynia⁽²⁾.

W dniu tej nominacji generał Sosnkowski zawiadomił Zygmunta Dobrowolskiego, że jedynym ośrodkiem dyspozycji dla pracy wojskowej w kraju jest prowadzona przez Rząd i Naczelnego Wodza organizacja ZWZ, komendantem której na terenie Małopolski Wschodniej i Wołynia jest mjr Macieliński. „Polecam Panu Majorowi podporządkowanie się komendantowi Obszaru Nr 3 i nadal pracować ściśle według jego dyrektyw”. Zatwierdził: generał Sikorski⁽³⁾.

Ppłk Sokołowski, majorowie Klotz i Dobrowolski nie wykonali rozkazu Naczelnego Wodza: nie podporządkowali się Macielińskiemu.

Generał Rowecki o ppłk Sokołowskim: „usuwa się całkiem od pracy w ZWZ i tworzy własną organizację „Wierni Polsce”⁽⁴⁾”.

Autor książki pt. „Zapomniany pułkownik”, Antoni Lenkiewicz napisał, że ani plk Sokołowski, ani mjr Klotz nie złożyli w tym czasie żadnych rezygnacji z pełnionych funkcji. Nikt też ich nie odwołał. „Komenda Trzaski-Sokołowskiego funkcjonowała nadal jako konspiracja w konspiracji”. Nadal pełnili swoją służbę zdani coraz bardziej na siebie, gdyż fundusze przejmowała struktura Macielińskiego, którego organizacja, a na pewno radiostacja przy pomocy której kontaktował się bezpośrednio z Paryżem, była infiltrowana przez wywiad sowiecki”.

DEMONICZNY KOMENDANT

Obejmując stanowisko komendanta Obszaru Macieliński już ponad cztery miesiące był podejrzewany o współpracę z NKWD.

W komendzie głównej, czy – jak mówiono – w Centrali nie mogli o tym wiedzieć, bywały długie okresy braku łączności. Z lwowskich dowódców tylko on, korzystając z własnej lub mając dostęp do zakonspirowanej radiostacji, mógł kontaktować się z naczelnym dowództwem we Francji, być jedynym informatorem Centrali o stosunkach we Lwowie i opinię – jak i komu chciał.

O co podejrzewano i w szeptanej propagandzie rozpowszechniano nie tylko w organizacjach konspiracyjnych?

Już po nominacji na komendanta Obszaru Macieliński miał podobno wysyłać swoich emisariuszy do innych części okupacji sowieckiej. Jego wysłannik, Fred, był posądzany o występowanie w roli prowokatora NKWD w Obszarze białostockim, gdzie aresztowano około czterystu członków organizacji. Agenci Macielińskiego mieli brać udział w zdekonspirowaniu organizacji wileńskiej. Oskarżano go o współudział w aresztowaniu ppłk Władysława Kotarskiego (ps. „Nadolny”), ppłk Józefa Spychalskiego, ppłk Stanisława Pstrokońskiego, porucznika Antoniego Iglewskiego. *Szef wywiadu w organizacji Macielińskiego niewątpliwie agent NKWD, Antoni Rudy vel Andrzej wydał m.in. Marcyniuka, kuriera z Warszawy w ręce NKWD. (Red.)*

Były uzasadnione powody do podejrzeń. Jeśli przed nominacją Macielińskiego był aż trzy razy aresztowany i zwalniany, to mogło się wydawać pewne, to trudno sobie wyobrazić aby po nominacji nie przestano się nim nadal interesować.

O Macielińskim kilka razy rozmawiałem z jego podkomendnym, przedwojennym oficerem zawodowym, Włodzimierzem Białoszewiczem, z którym byliśmy partnerami konspiracyjnymi (mieszka we Wrocławiu). Zapytany o współpracę z Macielińskim, powiedział i to zapisałem: „19 grudnia 1939 nawiązałem kontakt z majorem Macielińskim, któremu złożyłem

(1) AKD T I, Nr 24.

(2) AKD dok. nr 40

(3) AKD nr 40

(4) W meldunku organizacyjnym nr 79.

przysięgę wojskową, z jego rozkazu objąłem dowództwo nad kolejarzami, którzy byli już samorzutnie zorganizowani". Białoszewicz nie wierzył i nie wierzy, że Macieliński mógł współpracować z NKWD – jest to zrozumiałe.

Taki punkt widzenia ppłk Włodzimierza Białoszewicza jest zupełnie zrozumiałą, gdyż NKWD mając w ręku komendanta nie potrzebowała niepokoić jego podwładnych.

Ci zaś, którzy jako niebezpieczni zostali aresztowani, a dopiero na mocy umowy Sikorski–Majski zostali zwolnieni są innego zdania o Macieliński niż płk Białoszewicz (gen. Januszajtis, gen. Anders, płk Okulicki, płk Pstrokoński, mjr Mrozek i inni) (red.).

Z PARADOKSÓW NASZYCH DZIEJÓW

W instrukcji z 15 maja generał Sosnkowski zażądał „wycofania Klotza, który wzbudza zastrzeżenia polityczne. Żądanie to świadczy chyba o przekonaniu w Komendzie Głównej w Angers, że rozkaz Naczelnego Wodza w scaleniu organizacji wojskowych wykonali wszyscy dowódcy, a więc także ppłk Sokołowski. Czy prawdą jest – pytał generał Sosnkowski – że na terenie Lwowa działa starosta K(lotz)?”

Wiadomo, jakie to były zastrzeżenia.

Alfons Klotz, legionista i peowiak, absolwent Wyższej szkoły Wojennej, w służbie cywilnej urzędnik administracji państwowej, starosta lwowski, plocki, wadowicki, radomski, gruździądzki, poznański, a co więcej – szef sztabu w organizacji Sokołowskiego, był typowym „reprezentantem” sanacji, której z pasją teraz uragano.

odpierając absurdalne zarzuty, już w innym czasie, Rowec ki pisał: „Stworzony został straszak sanacyjny, którym zależnie od potrzeby żongluje się lub przylepia stempel sanacji każdemu którego chce się zlikwidować”.

Córka ppłk Sokołowskiego, Bożenna, wiedząc, że Klotz był kiedyś starostą lwowskim, domyślała się, czym tak bardzo naraził się endecji: „Nie jest wykluczone – pisała – że mogło to być związane z działalnością Obozu Narodowo–Radykalnego (ONR) i „gettami ławkowymi” na lwowskich uczelniach, czemu Klotz na pewno biernie się nie przyglądał” (tekst maszynopisu).

W księdze paradoksów naszych dziejów wypadłoby zapisać, że ta powrzesniowa antysanacyjna wrzawa jakoś szyderczo harmonizowała z gwałtowną – zwłaszcza na ziemiach wschodnich – antysanacyjną propagandą sowiecką.

Opozycja pamiętała grzechy sanacji, a jednocześnie zapomniała, jak bardzo była absurdalnie naiwna politycznie. Albo skrajnie na lewo, albo skrajnie na prawo. Albo elitarnie wyniosła i zarozumiała – jak Front Morges z udziałem Paderewskiego i Sikorskiego.

KŁOPOTY KOMENDANTA GŁÓWNEGO

30 czerwca generał Stefan Rowecki został komendantem głównym Związku Walki Zbrojnej. Najtrudniejsze problemy, jak można się domyślać z lektury: „Armia Krajowa w dokumentach” miał chyba w lwowskiej konspiracji.

Właśnie przed kilku dniami 22 czerwca, aresztowano przybyłego z Paryża ppłk Stanisława Pstrokońskiego, pełnomocnika komendanta okupacji sowieckiej, którego obowiązki „przejściowo” od 5 maja spełniał... komendant okupacji niemieckiej generał Rowecki.

Razem z Pstrokońskim aresztowano „kilku od majora Zygmunta Dobrowolskiego”.

Aresztowanego ppłk Pstrokońskiego przesłuchiowano w NKWD dwa tygodnie. Była to na pewno najcięższa w jego życiu próba charakteru i wytrwałości. Zwolnili go 6 lipca.

W późniejszych, już powojennych notatkach, napisał: „w czasie śledztwa zorientowałem się, że organizacje są spenetrowane przez NKWD, a główny komendant Macieliński–”Kornel” jest w dyspozycji NKWD”. To też gdy NKWD zaproponowało Pstrokońskiemu zwolnienie za zastosowanie się do ich poleceń – Pstrokoński po dwóch dniach namysłu wyraził zgodę, sądząc, że uda mu się odegrać rolę Wallenroda i w dogodnej sytuacji uciec na Zachód, likwidując „po drodze” zdrajców.

Był naiwny, nie orientował się w działaniu NKWD, pełnego przebiegłości i perfidii. Zwolniony z więzienia Pstrokoński był pod ścisłym nadzorem NKWD: Rajchmana, Bykowa i dwóch innych i rozumiał, że nie uda mu się swoich zamiarów przeprowadzić. Wtedy przy spotkaniu z literatem Wasylewskim zwierzył się ze swej sytuacji i prosił o ostrzeżenie znajomych przed kontaktowaniem się z nim.

Sowieci szybko przejrzyli jego grę i po 10 dniach takiej „współpracy” aresztowali go i wywieźli samolotem do Moskwy, skąd został zwolniony na podstawie umowy Sikorski–Majski. Wstąpił do Armii Andersa, pełniąc funkcję kwatermistrza.

W tym czasie sąd kapturowy AK w Warszawie wydał na Pstrokońskiego wyrok śmierci za rzekomą współpracę z NKWD od 22 VI do 6 VII 1940 roku. Generał Grot nie zatwierdził tego wyroku (opracowano na podstawie raportu Pstrokońskiego znajdującego się u syna p. Macieja Pstrokońskiego w Londynie oraz w aktach MON w Londynie: 566/PGN/61 Lp. 28) Za życia Pstrokońskiego nie udało się przeprowadzić rehabilitacji. Zrobił to po jego śmierci płk dypl. Ludwik Bociański 23 lipca 1959. (red.)

L.p. 78

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ
43, Epton Place, S.W. 1.

L. dz. 566/Pfn/61. Londyn, dnia 5 kwietnia 1961 r.

Wyrok Sądu Koleżeńckiego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Londynie
w składzie:

Kpt. aud. Dr. J. Prachtel Morawiański, jako przewodniczący
Płk dypl. J. Grudziński
Kpt. P. Szudok, jako sędziowie,


wydany w dniu 23. lipca 1959 r. na wniosek płk. dypl. L. Bociańskiego o rehabilitację śp. ppłk. dypl. Stanisława Pstrokońskiego w związku z jego działalnością we Lwowie w 1940 r., brzmiący:

„Sąd postanowił wniosek o rehabilitację śp. ppłk. Stanisława Pstrokońskiego uwzględnić i uznać go za całkowicie zrehabilitowanego” –

zatwierdzam,

Otrzymało płk. dypl. Ludwik Bociański dla doręczenia rodzinie śp. ppłk. dypl. S. Pstrokońskiego, o ile ta nie przebywa w Kraju.

Minister Obrony Narodowej
M. Tokarszewski
M. Tokarszewski – Karaszewicz
gen. dyw.



W książce „Armia Krajowa w Dokumentach”, tom II str. 116, znajduje się inna następująca relacja.

Po rozmowie z Wasylewskim o swej konspiracyjnej klęsce, Pstrokoński kontaktował się Macielińskim i zwierzył mu się z zamiaru ucieczki do Warszawy. Macieliński obiecał mu to ułatwić. Plk Paszkowski zarządził inwigilację Macielińskiego i Pstrokońskiego. Stwierdzono, że Macieliński odprowadził Pstrokońskiego na dworzec, a na stacji Barszczowice Pstrokoński został aresztowany⁽¹⁾.

Kilka miesięcy po tych zdarzeniach, w meldunku z Moskwy do Centrali plk Leopold Okulicki napisał „Wg wiadomości, rozpuszczanych przez Macielińskiego, miał Pstrokoński wyjechać do Białegostoku i po drodze na jego rozkaz [miał być] zastrzelony”.

Przykładem, jak bardzo paradoksalne sytuacje wynikały z niedobrze pracujących służb informacyjnych, może być fakt, że w pięć dni po wypuszczeniu Pstrokońskiego, czyli 11 lipca, Sosnkowski wyrażał opinię, że propozycja mianowania Macielińskiego na komendanta okupacji sowieckiej jest słuszna. Opinię tę zatwierdził generał Sikorski.

Innego zdania był generał Rowecki, który w sprawozdaniu z 2 września dla generała Sosnkowskiego pisał o braku dobrych komendantów: „Typowym przykładem działalności

Macielińskiego we Lwowie, który w ciągu dwu ostatnich miesięcy (w lipcu i sierpniu) przedstawił się jako nierówny, nieopanowany i pracujący bez planu komendant”.

Później będzie go jeszcze oskarżał, że „opiera się uznaniu każdego wyznaczonego przez Centralę przełożonego, że systematycznie odsądza od wiary i uczciwości każdego przypuszczalnego konkurenta na terenie Lwowa (...) Dobrowolskiego oskarżał o współpracę z NKWD, obecnie oskarża go o współpracę z Niemcami. Nie umie planowo pracować, ani nawet ściśle raportować. Jego działalności robi wrażenie roboty niepoważnej albo hysterystycznej”.

30 września generał Sosnkowski pisał do komendanta głównego ZWZ, generała Roweckiego: „Z meldunków Macielińskiego wynika, że nie ma on z wami łączności ani organizacyjnej (wymiana kurierów) ani technicznej *radio) ani też nie otrzymał od was żadnego zaopatrzenia”.

Pytanie najoczywistej retoryczne: – Co w takich okolicznościach, w warunkach konspiracyjnych, mógł zrobić komendant główny?

cdn.

⁽¹⁾ AKD t. II, s. 116

Pierwsze zetknięcie się polskiej młodzieży szkolnej we Lwowie z sowieckim systemem w roku 1939

Konrad Sura

Do wielu znanych już wspomnień z życia Lwowa w czasie pierwszej okupacji sowieckiej pragnę dorzucić swoje wspomnienie z pierwszego zetknięcia młodzieży polskiej z „demokracją” sowiecką. Nie znalazłem dotąd w żadnej ze znanych mi publikacji opisu mityngu w Filharmonii Lwowskiej, a Stanisław Pempel w swojej książeczce pt. „ZWZ—AK we Lwowie 1939-1945” na str. 13 poświęcił temu zdarzeniu tylko kilka zdań:

„Pierwszymi ofiarami aresztowań była młodzież. W połowie października 1939 r. wezwano delegacje uczniowskie ze wszystkich szkół na spotkanie (miting) w sali Filharmonii Muzycznej przy ul. Chorążczyzny 7, gdzie powiadomiono, że w szkołach nie będzie nauki religii ani modlitwy przed lekcjami, a w klasach muszą być zdjęte krzyże. Gdy protestująca młodzież zaczęła śpiewać „My chcemy Boga...” znaczna część zebranych została aresztowana i już nie wróciła do domów.”

Jako uczestnik tego wydarzenia stwierdzić muszę, że opis ten nie pokrywa się z prawdą. W rzeczywistości delegacje uczniowskie zostały zebrane w Filharmonii i do zapelnionej sali zaczął przemawiać jakiś bolszewik, oświadczając, że zniknęła pańska Polska, została wyzwolona Ukraina i ludność Lwowa wreszcie rozpocznie szczęśliwe życie w ustroju sowieckim. Oznajmiono również o zniesieniu nauki religii i wszelkich oznak kultu religijnego. Informacje te sala przyjęła głośnymi protestami, na scenę wskoczyła grupa kolegów z których jeden wygłosił płomiennie przemówienie, że Polska nie zginęła i zakończył znanym powiedzeniem, że „Upaść może naród wielki, ale zginąć tylko nikczemny”. Okrzyki „Niech żyje Polska” i śpiew „My chcemy Boga...” opanowały salę, a zdeorientowani i nie spodziewający się czegoś podobnego organizatorzy, zniknęli jak niepyszni. Rozeszliśmy się podnieceni

i radośni do domów, szeroko komentując naszą demonstrację polskości Lwowa.

Okolo tygodnia później znowu zaproszono delegacje szkół do Filharmonii. Wszyscy, jeszcze nie znający stosunków sowieckich, poszliśmy pełni zapału do ponownej demonstracji. Gdy sala się zapelnia i oczekiwaliśmy na rozpoczęcie zebrania, przez wszystkie drzwi wejściowe do sali wkroczyło kilkudziesięciu „bojców” NKWD w czapkach z niebieskimi denkami, uzbrojonych w karabiny z nałożonymi bagnietami i rozstawili się szczerlnie wzdłuż ścian. Gdy jak poprzednio zaczął przemawiać jakiś bolszewik o upadku Polski, rozległy się głośno protesty z sali. Wtedy po kilku bojców rzucało się z nastawionymi bagnietami między rzędy krzeseł i wyciągali protestujących kolegów. W ten sposób aresztowano kilkudziesięciu kolegów i sterroryzowano salę. Teraz już bez przeszkód mówca zakończył swoje ohydne przemówienie. O ile pamiętam, jakiś uczeń Ukrainiec odczytał na koniec rezolucję, dziękującą Armii Czerwonej za wyzwolenie i przesyłając słowa hołdu dla wodzów Związku Sowieckiego. Z tego zebrania wracaliśmy już z bardzo minorowymi minami, ale nie załamani, bo nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy jak straszne będą konsekwencje dla aresztowanych kolegów. Było to pierwsze doświadczenie jak wygląda „demokracja” sowiecka, ich wolność słowa i zrzeszeń, gwarantowane w stalinowskiej konstytucji.

Nie spotkałem dotąd nikogo, kto pamiętałby te zebranie, ale może moje obecne wspomnienia po latach, dotrą do kogoś z ówczesnych uczniów szkół średnich we Lwowie i dobrze by było dorzucić jeszcze jakieś szczegóły. Pamięć ludzka po 57 latach jest zbyt zawodna i rejestruje tylko ogólny obraz sytuacji.

W obronie Kresów

Jerzy Makowski

Wśród publicystów polskiego wychodźstwa wojennego najbardziej bodaj konsekwentną i bezkompromisową postawą w obronie Kresów wyróżnił się Zygmunt Nowakowski (1891-1963). Warto dziś przypomnieć jego, często dalekowzroczne opinie i wypowiedzi, pełne troski o los wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Poczytny w okresie dwudziestolecia powieściopisarz, poza tym dramaturg, a także aktor, reżyser, jak również świetny felietonista krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, wydawał wraz z Mieczysławem Grydzewskim od marca 1940 do lutego 1944 r. (początkowo w Paryżu, następnie w Londynie) tygodnik „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie”. Pismo to charakteryzowała duża niezależność poglądów, przejawiająca się przede wszystkim w opozycyjności wobec niektórych aspektów polityki wschodniej rządu generała Sikorskiego.

Na jego łamach pojawił się pierwszy chronologicznie protest przeciwko umowie Sikorski-Majski. Był nim artykuł pióra właśnie Nowakowskiego „Kiwerowa Górka” z dnia 10 sierpnia 1941 r. Publicysta uznał świeżo wtedy podpisany traktat polsko-sowiecki za „zawarty wbrew przestrogom z pogwałceniem zwyczajów i prawa, na przekór naszym interesom i polskiej racji stanu”. Sceptycyzm autora wynikał z doświadczeń historycznych.

Zawierane dotychczas rozejmy i układy z Rosją były bowiem zazwyczaj w krótkim czasie lamane, mimo iż często opatrywano je klauzulą „wicezysty”. Odwołując się do przykładów z XVI i XVII w. podsunęto czytelnikom sugestię, że również lipcowy sojusz z 1941 roku okaże się krótkotrwały, a od nowego sprzymierzeńca niewiele można oczekiwać, poza złudnymi obietnicami, nawet, gdy idzie o poprawę doli setek tysięcy polskich zesłańców. Wiadomo, że dalszy bieg wypadków miał niestety potwierdzić wątpliwości Nowakowskiego. Udział Związku Radzieckiego w koalicji antyhitlerowskiej, i to jako pożądanego sojusznika Wielkiej Brytanii a później też Stanów Zjednoczonych, stwarzał realne niebezpieczeństwo, iż ustalenia graniczne paktu Ribbentrop-Mołotow ostaną się także w powojennej konfiguracji politycznej. Uczestnictwo zaś polskich żołnierzy w walkach nie zaważy na szali przyszłych alianckich decyzji. W artykule „The Poland will defendent it” (z dnia 3 kwietnia 1942 r.) Nowakowski komentuje to następująco: „Żołnierze polscy walczą i walczyć będą o zwycięstwo demokracji, z którą to demokracją – jak również z pięknymi tezami Karty Atlantycznej – nie wspólnego nie ma pomysł pozbawienia niepodległości Litwy, Łotwy i Estonii oraz oddania Sowietał połowy Polski. Ten pomysł jest krwawym szyderstwem w stosunku do demokracji. Ponadto żołnierze polscy walczą o polskie cele wojny. Na liście tych celów figuruje tak samo Lwów jak Kraków, tak samo Wilno jak Poznań. Żołnierz polski nie jest żołnierzem najemnym. I nie jest żołnierzem kolonialnym, jest on żołnierzem polskim, wie o co się bije, podczas gdy polity-

cy angielscy zdają się nie wiedzieć, że ten żołnierz walczy o całość Polski”.

Do tematu wraca Nowakowski w artykule komentującym wizytę generała Sikorskiego w Stanach Zjednoczonych i sposób podejmowania premiera w odwiedzanych miastach USA, połączony z teatralno-jarmarcznymi gestami i specyficznymi amerykańską pompą, mającą maskować brak konkretnych politycznych rezultatów lub ich nikłość („O klucze do innych miast” z dnia 10 stycznia 1943 r.). Czytamy tam: „Bardzo miłym epizodem jest wręczenie złotego klucza od bram Chicago, ale – powtarzam – inne klucze do dwóch polskich miast, Wilna i Lwowa, są ważniejsze. O te klucze idzie przede wszystkim, nie o sposób, w jaki Polacy powitali gen. Sikorskiego w Chicago. Wiadomo, że powitanie w Chicago musiało być gorące, podczas gdy powitanie np. w Nowym Jorku musiało być o kilka kresiek chłodniejsze, ponieważ zrobiono wszystko, co było możliwe, aby nowojorskich niezwykle aktywnych działaczy zrazić. Przecież gorliwość posunięto tak daleko, że cenzura angielska, puściwszy memorial, w którym Polacy nowojorscy bronili granic wschodnich, cofnęła następnie zezwolenie na jego druk. Memorial zawierał jotę w jotę identyczne, te same tezy, o które walczy obecnie w Ameryce gen. Sikorski”.

Cenzura brytyjska, a niestety może nawet w większym stopniu polska, coraz częściej poczyniała blokować materiały prasowe czy radiowe poruszające problemy granic polsko-radzieckich. Nie rozumiała też tych kwestii prasa angielska. W artykule „Na początku było słowo” (18 kwietnia 1943 r.) żali się Nowakowski, że: „gdy Anglik pisze o Lwowie czy Wilnie, interesuje go dola tych miast mniej niż dola mikroskopiijnej wysepki na Pacyfiku wchodzącej w skład Imperium...” Dalej autor z goryczą zapytuje: „Czy po to Polska przyjęła narzuconą jej wojnę, by jednemu z ówczesnych napaśników, a dzisiejszemu sprzymierzeńcowi oddać połowę swych obszarów?” Wątpliwości pisarza budzi faktyczny wkład Wielkiej Brytanii do sprawy polskiej, zarówno militarny w 1939 r., jak i polityczny w r. 1943. Egzemplifikacją stosunku Brytyjczyków wobec polskich obszarów wschodnich stały się kontrowersje wokół nazwy okrętu, który przekazała naszej marynarce wojennej Royal Navy, a któremu strona polska chciała nadać nazwę „Lwów”, czemu stanowczo przeciwstawili się ofiarodawcy (chodzi o lekki krążownik „Dragon”, który pozostał pływając pod polską banderą przy swej dawnej angielskiej nazwie – przyp. J.M.).

Zagadnienie Kresów podjął Nowakowski ponownie w artykule „Pokój Boży”, opublikowanym 17 października 1943 r.: „Nie obawiamy się i stwierdzamy, że Polska zniknęła jako podmiot wszelkich rozmów. Nie ma nas. I to nie ma nas nigdzie /.../ Nie istniejemy. To prawda brutalna, ale prawda” — konstatuje z bólem. Istotnie dla sprawy polskiej zaczęły wiać wiatry bardzo niepomyślne. Polacy stawali się uciążliwym

sojuszniakiem. W prasie brytyjskiej coraz częściej pojawiały się słowa popierające stanowisko ZSRR wobec powojennych granic Polski. Żądano życzliwości dla wojsk radzieckich w momencie ich wkroczenia na ziemię polską, traktowano na równi Rząd polski w Londynie i Związek Patriotów Polskich w Moskwie. Brytyjski tygodnik „Economist” żądał uprzedniego ustosunkowania się Polaków do Armii Czerwonej, co miałoby ułatwić rokowania polsko-sowieckie dotyczące granic, spraw mniejszościowych, zagadnień gospodarczych, zmian terytorialnych, plebiscytów, przesiedleń ludności. Nowakowski zalecenia te określa jako naiwne. Zarzuca angielskiemu organowi brak znajomości realiów, nie podziela też zachwytów zachodnich czynników opiniotwórczych nad pozorowanym w istocie rzeczy przywróceniem przez Stalina swobód religijnych. To ostatnie pociągnięcie Kremla tak ocenia: „Dziś Sowiety powiedziały sobie, że Lwów, Wilno, stolice bałkańskie, a także i Berlin, może nawet Rzym, może cała Europa warte są mszy”. Konkluzję artykułu stanowi postulat utworzenia wspólnego frontu polskiego opartego na „Bożym pokoju”.

Dnia 6 lutego 1944 r. pojawił się na łamach „Wiadomości Polskich” najbardziej chyba dramatyczny apel Nowakowskiego wzywający, aby analogicznie do powiedzianego w roku 1939 „nie” Niemcom — uczynić to samo w obliczu radzieckich zakusów na polskie obszary wschodnie („0 drugie »Nie«”). Polemizując z prasą brytyjską, która „uparła się i nasze wschodnie granice nazywa »granicami z r. 1939«, możemy — stwierdza się w artykule — zgodzić się na ten termin pod jednym warunkiem: że będziemy mówili o granicach nie tylko polskich, lecz o granicach demokracji z roku 1939, albo że będziemy mówili o dawnych granicach demokracji”. Dalej rzuca autor krótkowzrocznym politykom trafne ostrzeżenie: „Dzisiaj wszelkie próby nacisku, byśmy zgodzili się na jakąś linię Curzona-Ribbentropa-Mołotowa, oznaczają przesunięcie demokracji i Europy o setki mil na zachód, a w dalszej konsekwencji — zagładę zupełną demokracji *viribus unitis* przez Rosję i Niemcy. Razem z demokracją skurczyłaby się Europa o blisko dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych należących do Polski, o terytoria trzech państw nadbałtyckich, a może nawet o całą Finlandię. Słońce zatrzymałoby się na linii Curzona i ani jeden dobroczynny promień nie mógłby jej przekroczyć. Oczywiście linia Curzona stanowiłaby początek wielkiego pochodu ciem-

ności na Zachód. Linia Curzona jest fikcją powstałą w głowie dyletanta, ciemność idąca ze wschodu jest siłą rzeczywistą, złowrogą, i taką, która gdy raz ruszy w pochód, nierychło się zatrzyma /.../. W grę wchodzi nie tylko Polska, ale wolność, ale demokracja, ale po prostu i krótko powiedziawszy, ludzkość, która — wyzwolona z jarzma niemieckiego — będzie chciała odetchnąć pełnią swobody. Sprawa polska nie jest sprawą, którą można było przeskoczyć albo obejść. Leży ona na samym środku drogi. Jest kamieniem probierczym, o który zawadzi ta wojna i jej cele. Polska stała się jeszcze bardziej niż w chwili wybuchu wojny punktem centralnym całego zagadnienia. Od naszego »tak« czy od naszego »nie« zależy niezmiernie wiele rzeczy, przede wszystkim dawne granice demokracji, pokrywające się z granicami traktatu ryskiego /.../. Z satysfakcją odnotowuje Nowakowski pozytywne stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec słusznych praw Polski: „»Osservatore Romano« z dn. 18 stycznia /1944 r./ określa linię Curzona jako niesprawiedliwą, widząc w granicach ryskich jedyne rozsądne rozwiązanie sąsiedzkich stosunków obu państw. Warto zwrócić uwagę na fakt, że Watykan występuje z tym zdaniem w czasie, gdy Moskwa urządza komedię przywracania swobód religijnych /.../. Rzym /.../ z właściwą sobie przenikliwością dostrzegł ogólne paneuropejskie konsekwencje linii Curzona”.

Artykuł „0 drugie »Nie«” tak pryncypialnie określający stanowisko pisma i jego redaktora, i polską rację stanu w przełomowym dla przyszłości części Rzeczypospolitej czasie — okazał się niestety jednym z ostatnich gwoździ do trumny „Wiadomości Polskich”. Pismo zostało zamknięte przez czynniki brytyjskie dla dogodzenia czynnikiem radzieckim. Na zewnątrz przedstawiono ten fakt nie jako zakaz wydawania „Wiadomości”, ale jako cofnięcie przydziału papieru. „By — jak z sarkazmem zauważył Nowakowski kilka lat później — ktoś nie powiedział, że w Anglii nie panuje wolność słowa, choć ta skończyła się podczas wojny”. W końcu władze brytyjskie zakazały wszystkim pismom polskim poruszać kwestię wschodnich granic Rzeczypospolitej.

Wszystkie cytaty za: Zygmunt Nowakowski „Z księgi zażeń pielgrzymstwa polskiego”; 1949, Spółka Wydawniczo-Drukarska „La Colonne”, Bruksela. (Jest to wybór artykułów publikowanych uprzednio w „Wiadomościach Polskich, Politycznych i Literackich”).

Lwów, AK 1941-43

gen. Kazimierz Sawicki

W bardzo fragmentarycznym i pobieżnym szkicu (po upływie lat 10) chcę podać garść wspomnień z okresu pobytu mojego we Lwowie na stanowisku Komendanta Obszaru AK — Małopolska Wschodnia i Wołyń od września 1941 do sierpnia 1943 r. Tematem tych luźnych notatek będzie:

- sytuacja ludności polskiej na tych ziemiach w chwili mojego przybycia na ten teren.
- stan stosunków polsko-ukraińskich w tym okresie.
- przebieg w tych warunkach podjętej przeze mnie próby rozmów z przedstawicielem Organizacji Banderowców (inż.

Wrzecziono). Sprawą ukraińską zajmować się musiał Kdt Obszaru, a nie władze polityczne Polski Podziemnej — Delegat Rządu — gdyż wynikało to we Lwowie z wojskowej wagi tego zagadnienia.

Nie rozporządzając dokumentami podaję fakty tak, jak zachowały się one w mojej pamięci. W notatkach tych staram się podać tylko to, co jestem w stanie sobie odtworzyć, w czym brałem bezpośredni udział lub też co osobiście na miejscu mogłem stwierdzić. Odległość czasu i brak materiału z konieczności zmusza mnie do wielkich skrótów i uogólnień. Jeśli pełniąc wówczas funkcje wojskowe poświęcałem także dużo uwagi sprawom natury politycznej — stosunkom polsko-ukraińskim, to tylko dlatego, iż te w ówczesnych warunkach były zagadnieniem kluczowym dla planowania wojskowego i zadań związanych z moim stanowiskiem. W walce z okupantem niemieckim na terenach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej zasadniczym, choć zdawałoby się wtórnym elementem, który należało brać pod uwagę — była postawa czynnika ukraińskiego — nastawionego w stosunku do Polski zdecydowanie wrogo, a rozporządzającego organizacją i środkami znacznie przekraczającymi nasze. Jedynie AK była tam silnie rozbudowaną organizacją z odpowiednim sztabem i licznymi wybitnymi fachowcami, by szersze zadania tej natury móc podejmować. Polskie organizacje polityczne były niezmiernie słabe, zaś Delegatura Rządu przechodziła stale kryzysy personalne i sprawowała władzę w dużej mierze tylko nominalną.

Blisko dwuletnia okupacja sowiecka (1939- 1941) zmieniła stosunki w Małopolsce i na Wołyniu w sposób gwałtowny i radykalny — dla nas wybitnie niekorzystnie. Stan posiadania elementu polskiego uległ pod rządami sowieckimi szybkiemu skurczeniu. Ziemie te uległy pospiesznie przeprowadzonej sowietyzacji i ukrainizacji. Inteligencja polska przez aresztowania i wysiedlenia na wschód — do Rosji — została w znacznym procencie zlikwidowana, ta, zaś która została pozbawiona swoich warsztatów pracy, wegetowała i stale była pod terrorem NKWD. Administracja, służba bezpieczeństwa, kolejnictwo itp. przeszły w ręce sowieckie lub ukraińskie, przy czym element polski został w dużym stopniu wyeliminowany. Ten sam los spotkał szkolnictwo, z tym że na uczelniach wyższych ukrainizowanych pozostało gros dawnych profesorów, których nie było kim zastąpić. Kierownikami w średnim i wyższym szkolnictwie wyznaczono komunistów lub skomunizowanych Ukraińców.

Na odcinku gospodarczym element polski ucierpiał nie mniej dotkliwie. Wszelkie obiekty przemysłowe lub handlowe, nieruchomości w większych miastach, większa własność rolna uległy upaństwowieniu i przeszły pod administrację sowiecko-ukraińską. Po niespełna dwóch latach okupacji sowieckiej jedynie jeszcze chłop polski pozostał na swojej ziemi, choć i tej ludności rolniczej narzucono ukraiński nadzór i różne ograniczenia; reszta ludności została pozbawiona swoich warsztatów pracy, utrzymując się z wielkim wysiłkiem na powierzchni życia. Kolejarzy polskich, służby leśnej, poza fachowcami, którzy byli nie do zastąpienia, nie zatrudniano. Życie społeczne, rozbite i sparaliżowane. Z roz-

budowanych przed wojną we Lwowie stronnictw politycznych ocalała tylko część ich sztabów, tracąc jednak w dużej mierze kontakt z terenem. Dotyczy to PPS, ND, PSL oraz mniejszych stronnictw.

Tajne polskie organizacje wojskowe (jak ZWZ), które na pozostałych ziemiach Rzeczypospolitej tak wspaniale rozwinęły się po 1939 r. i przeistoczyły w potężną Armię Krajową — tu, na ziemiach południowo-wsch. po początkowym bujnym rozkwicie szybko załamały się pod terrorem sowieckim. Po klęsce wrześniowej ZWZ z Komendą Główną we Lwowie objął gęstą siecią organizacyjną całą przestrzeń okupacji sowieckiej, od Lwowa przez Wołyń, Grodno, do Wilna. Jednak w ciągu 1940 roku organizacja uległa całkowitemu rozbiciu, zwłaszcza na terenie Małopolski Wschodniej i Wołynia.

Do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej tylko nieliczne jednostki z dawnego ZWZ zdołały przetrwać i uniknąć pogromu. Oprócz tych, którym udało się przedostać do Rumunii i na Węgry — pozostali zapelnili wiezienia lub lagry sowieckie.

By zobrazować rozmiar spustoszeń w organizacji, wystarczy, gdy stwierdzę tragiczny fakt, że już na początku 1941 r. Komendant Główny ZWZ na całą okupację sowiecką major (pplk) Macieliński przeszedł na służbę NKWD i w tej roli pozostawał na swoim stanowisku, zachowując łączność radiową z Londynem (początkowo z Angers), a później — do końca niemal 1941. r. , a więc przez szereg miesięcy po wkroczeniu Niemców do Lwowa w tymże roku. Zdrada komendanta spowodowała likwidację szeregów wojskowych. Ofiarami tej zdrady padli również emisariusze ZWZ z Warszawy, pułkownicy Pstrokoński, a później Okulicki. Toteż kiedy na jesieni 1941 roku przybyłem do Lwowa celem objęcia dowództwa Obszaru i odbudowania organizacji wojskowej — w pierwszych miesiącach pobytu tylko z wielkim trudem mogłem odnaleźć na przestrzeni Małopolski Wschodniej niewielką liczbę oficerów, którzy tylko dzięki temu ocalili, iż w porę zorientowali się w prowokacyjnych metodach sowieckich i zaszyli się w starannie zamaskowanych kryjówkach.

Jakie były nastroje w Małopolsce w okresie okupacji sowieckiej, świadczy fakt, że wkroczenie tam wojsk niemieckich było przyjmowane przez ludność z pewną ulgą, w przekonaniu, że po piekle bolszewickim nawet oczekiwane naj-

Gen. Kazimierz Sawicki-Sawa (1898-1971) — legionista, gen. bryg. od 1 stycznia 1933, po kampanii wrześniowej do marca 1941 r. internowany na Węgrzech, skąd wrócił do okupowanej Polski. Od kwietnia 1941 r. do 1943 r. był Komendantem Obszaru AK Lwów, ps. „Pрут”. Walczył w Powstaniu Warszawskim.

gorsze, będzie lepsze od tego, co było.

Jaki był stan ludności polskiej w Małopolsce Wschodniej w sierpniu czy wrześniu 1941 r., kiedy tam przybyłem z Warszawy, mogłem to stwierdzić w pierwszym dniu po przekroczeniu granicy i rejonie Rawy Ruskiej.

Zmiana okupacji sowieckiej na niemiecką latem 1941 r. niewiele zmieniła położenie ludności polskiej, była to tylko zmiana szyldu. Likwidacja elementu polskiego w naszych województwach południowo-wsch. na placówkach administracyjnych i gospodarczych była Niemcom na rękę, ułatwiając im panowanie nad tym obszarem. Nasilenie terroru niemieckiego i penetracja Gestapo w stosunku do środowisk polskich

było znacznie mniej skuteczne. Zwłaszcza Lwów, w którym w końcowej fazie kampanii wrześniowej skoncentrowała się znaczna ilość jednostek wojskowych, był po zakończeniu działań wojennych terenem żywej akcji organizacji wojskowych. Ułatwiała to w pierwszych miesiącach okupacji sowieckiej nieobecność sowieckich służb policyjnych i NKWD. Społeczeństwo żyło nadzieją na szybką zmianę sytuacji i zwycięstwo Zachodu nad obu naszymi wrogami. Niestety, optymistyczne nadzieje nie ziściły się.

/Materiały Polski Podziemnej w Londynie nr 4705/

Jak Polak ma zostać Polakiem?

Leopold Swadowski

Zbyszek Kowalski urodził się w Polsce jako Polak wyznania rzymsko-katolickiego, lecz pokrętnie losy zrobiły z niego cudzoziemca, który nie ma prawa do swej prawowitej ojczyzny, którą bronił w 1939 roku, staczając ciężkie boje pod Jordanowem, gdzie rozbił osiem niemieckich czołgów. Ciężkie naloty Sztukasów zmusiły do odwrotu ich pociąg pancerny, który w bojach opóźniających dotarł do Kowla.

Tu doszło do pertraktacji z przedstawicielami Armii Czerwonej, którzy po odmowie poddania się przez polskiego dowódcę pociągu pancernego, zorganizowali nalot szkolnymi samolotami "kukuźnikami", co zmusiło dzielną załogę do podporządkowania się Sowiетom. W stosunku do walczących Polaków mieli tylko jeden argument: niewola i wywóz na daleką Północ.

Nowo powstałe zagłębia węglowe (Peczorskiej Basejn) z ośrodkiem w Workucie dla swego rozwoju potrzebowało większej liczby ludzi. I tak nasz dzielny pancerniak został zamieniony w górnika, mimo braku jakichkolwiek predyspozycji w tym kierunku. A tu już wszystko poszło utartym szlakiem stalinizmu, a mianowicie wyczerpująca praca przy równoczesnym niewystarczającym odżywianiu się. Na efekty takiego wyniszczającego trybu życia nie trzeba było długo czekać i nasz pancerniak zapada na gruźlicę kości, chorobę, której wyleczenie przekraczało możliwości miejscowych lekarzy.

Zamiast więc wydajnego górnika zyskali Sowieci chorego człowieka, który przy tym nie zdradzał ochoty przejścia na tamten, lepszy świat, a tylko psuł statystykę wyleczeń i obciążał budżet miejscowego Wydziału Zdrowia. Najlepszym wyjściem z wytworzonej sytuacji było pozbycie się niewygodnego pacjenta do Medycznego Instytutu we Lwowie, który powinien znaleźć sposób na wyleczenie tej egzotycznej choroby, nie znanej za Kołem Polarnym.

Jakkolwiek we wspomnianym Instytucie również nie bardzo dawali sobie rady z tego rodzaju pacjentem, to na, szczęście spotkał on lekarza rodaka, który szybko wyleczył go — tak, że po krótkiej próbie handlowania piernikami objął sta-

nowisko ślusarza-narzędziowca, na którym to stanowisku dośłużył się emerytury.

Zawirowanie życiowe było tak silne, że nie było warunków do ustalenia swojej polskiej tożsamości, która drzemiała na dnie duszy, aby pod koniec życia wystąpić z całą siłą, dopominając się o swoje właściwe miejsce.

Późny powrót z nie własnej winy do miejsca urodzenia spowodował niemożność uzyskania statusu "repatrianta" i Polak Kowalski okazał się obywatelem ukraińskim i celem przywrócenia mu obywatelstwa polskiego, którego się nigdy nie pozbywał, musi odbyć całą procedurę nabycia obywatelstwa polskiego. Przecież walczył w obronie swej polskiej ojczyzny, przecież był represjonowany jako uciążliwy Polak, by w końcu stać się obywatelem ukraińskim (radzieckim), który nie może być obywatelem polskim.

Klasyczny kombatan, którym nie chcą się zająć organizacje kombatanckie, gdyż nie mieszka on obecnie w Polsce, a tylko w ukraińskim Lwowie.

Temu prostemu uczciwemu Polakowi nie mieści się po prostu w głowie, że są biurokraci, którzy nie potrafią przywrócić go macierzy, skąd pochodzi jego ród. On, Polak i obywatel Rzeczypospolitej, której część została w haniebnym w podstępny sposób oderwana, aby mógł formalnie potwierdzić to, co cały czas czuje, naturalnie swoją polskość musi, zgodnie z warunkami podanymi przez polską placówkę konsularną, wnieść podanie do Prezydenta Rzeczypospolitej z prośbą o nadanie obywatelstwa polskiego. Oczywiście z odpowiednimi załącznikami, jak życiorys, dwa zdjęcia, metrykę urodzenia, metrykę ślubu i, co najbardziej bolesne, zaświadczenie wydane przez właściwe władze ukraińskie zezwalające na nabycie obywatelstwa polskiego.

Obojętność ze strony polskiej ojczyzny boleśnie dotyka Kowalskiego, który został tak po macoszemu potraktowany.

Nie znalazła się żadna polska organizacja, która by zajęła się tym polskim rozbitkiem, marzącym o złożeniu głowy na polskiej ziemi.

WSPOMNIENIA LWOWSKIEJ HARCERKI Z PRACY KONSPIRACYJNEJ W CZASIE WOJNY

Janina Kondziola

Urodziłam się i wychowałam we Lwowie. Lwowianką jestem od co najmniej trzech pokoleń, a może i więcej. Wojna 1939 roku. Do pracy w konspiracji wciągnęła mnie moja siostra Apolonia, działająca już w sekcji zagranicznej, a potem radiotelegraficznej, współpracująca z Druhną komendantką Hufca Wandą Tomaszewską. Potrzebna była łączniczka do Komendantki Chorągwi Druhny Stefanii Stipal — kierowniczki tajnego nauczania. A więc byłam łączniczką w szkole. Ponieważ nie byłam jeszcze harcerką — w niedługim czasie złożyłam przyrzeczenie (patrz książka „Harcerki 1939-1945” str. 525). Życie moje wyglądało teraz tak. Pracowałam zawodowo w Książnicy Atlas na Zielonej i rano przed pracą, biegiem (zima-lato) do d-ny Luny Stipal do domu na ul. Tarnowskiego po kartki z informacją dla nauczycieli i uczniów (zmiana spalonego adresu, układu lekcji), adresy oczywiście skrótowo-szyfrowane. Do pracy z tym, a po pracy w kurs i przed godziną policyjną zdążyłam zawsze do domu na Janowską (Pilichowska).

W niedługim czasie druhna Luna zaproponowała mi włączenie się w Wojskową Służbę Kobiet, oczywiście z ochotą i dumą przystałam, zaufanie to było wyróżnieniem. Przysięgę wojskową składałam, która nigdy nie zostanie zapomniana: więc adres, godzina, hasło — odzew jak zwykle, rutynowo. Pukam, wejście paradne, wprowadza mnie „dorosła” już pani do dużego pokoju — tam za stołem jedzą goście, między nimi kilku mundurowych oficerów niemieckich — sparaliżowało mnie — jeszcze wtedy nie orientowałem się w przebieganiach, ale byłam już przyzwyczajona panować nad sobą w drastycznych sytuacjach, idę więc za panią do pokoiku obok, a tam siedzi kilka dorosłych osób, chyba dwóch panów i jedna pani. Całe „wielkie” ale krótkie w słowach przemówienie o służbie dla Ojczyzny oraz o znaczeniu i ważności przysięgi wojskowej — składałam ją — bardzo wzruszona, dostaję swój symbol C-7 i wychodzę. Od tego czasu przenoszę krótką broń, razem z zawiadomieniami, broń przeważnie do Zośki czyli Zofii Konopolskiej-Skałowej do szkoły, w której ona uczyła u SS Nazaretanek na ul. Unii Lubelskiej. Dostaję jako zadanie odbiór prasy podziemnej prosto z drukarni, tzn. ja miałam punkt na placu targowym, tam odbierałam od łącznika z drukarni. Raz w zimie przy 32 stopni mrozie czekałam około 3 godzin. Czeakać musiałam, mogła to być awaria albo wpadka — wtedy trzeba zawiadomić ważnych ludzi, których adresy znałam na pamięć. Czekałam skutecznie — była to tylko awaria, ale ja miałam odmrożone nogi.

Kiedyś w lecie szłam na szczęście z kolegą z bardzo „trefną” torbą i wpadamy w lapankę na ul. Halickiej — pomyślałam: Boże, to już koniec ze mną. Kolega zorientował się, że jestem trefna (a on z mocnym auswajsem) — osłania więc mnie w kolejce do rewizji i każe „widać” w ul. Wałową, za róg i w bramę. We Lwowie nie można było wtedy kryć się w obcych mieszkaniach, gdyż mieszkało dużo Ukraińców, którzy natychmiast wydawali nas Niemcom, wpadam więc na strych i tam

pod strychem na schodach siedzę do zmroku, około 4 godzin. Kiedyś d-na Luna mówi mi, że jest specjalne zadanie, żebym poszła pod wskazany adres ale bez dużej (nieodłącznej) torby. Idę — tam dają mi garść — nieodliczoną ilość — złotych monet i każą piechotą zanieść pod wskazany adres i prędko wrócić.

Nosiłam to w kieszeni-skrytce zimowego palta i kieszeń trzymałam w garści, bo było to tak ciężkie, że obciągało mi pole palta. Ręką utrzymaną w drugiej kieszeni podtrzymywałam ciężar. I tak zrobiłam kilka kursów. Po wojnie okazało się, że monety do przeniesienia wręczał skarbnik Armii Krajowej „Dziunio”, czyli O. Rafał Kiernicki. Bardzo

bałam się też wymiany banknotów pochodzących ze zrzutów. Kioskarze i sklepikarze znali te akcje, ale było między nimi sporo kapusiów i ci mogli nas wydać. Wobec tego trzeba się było sporo

nabiegać banknoty wymienić. Moją wielką dumą było wyniesienie dokumentów. A było to tak. Pracowałam wtedy u inż. Janusza Witwickiego w Panoramic Dawnego Lwowa — i w pogodne niedziele chodziliśmy całą paką z inż. Januszem do lasu. A więc była to niedziela pogodna, my w lesie. Wracamy szczęśliwi, wypoczęci i

w niedługim czasie po powrocie wpada do nas kolega, który z nami był w lesie i wyjaśnia, że jego grupa (odział) miała zbiórki (on oczywiście był z nami) i cała grupa wpadła wobec tego, u nas śpi (a mieszkaliśmy wtedy z Siostrą na ulicy Żyrzyńskiej). Zdajemy sobie sprawę, że u niego będzie rewizja, a tam są ważne papiery. Nie było więc czasu do stracenia. Kole-



Trzy siostry: Wanda, Apolonia i Janina Kondziolówny.

ga mieszkał w sublokatorskim mieszkaniu. Biorę dokładny rozkład mieszkania, zwyczaj gospodarzy, wiem że po obiedzie mają drzemkę. Idę — bezszelestnie otwieram drzwi mieszkania, potem pokoju — z szafy wyciągam co trzeba — ładuję dwie pełne torby i wychodzę. Nikt mnie nie słyszał — na szczęście również nikt mnie nie widział — choć kamienica duża. Męczące były też obserwacje domów, długotrwałe, wymagające oczu i uszu dookoła głowy, krycia się, wychodzenia tak, żeby nikt nie zauważył stojącą osobę.

Lipiec 1944 — wakacje. Trochę luzu w meldowaniu się u d-ny Luny. Mam się zgłosić chyba 22-go, a tu zaczęła się strze-

lanina. Rosjanie nacierają na Lwów — Niemcy bronią się, wysadzają duże obiekty. Koło nas wylatują wodociągi (Stacja Pomp), a ja muszę iść do Druhny. Mama prosi mnie, abym nie wychodziła, ale to przecież niemożliwe — rozkaz. Moja siostra (nomen-omen) też luna idzie ze mną, nie puści mnie samą w taki ogień. Biegniemy w dół Janowską ze strachem, na ulicach puściuteńko, i dalej. Na Akademickiej pod topolami leżą niemieccy żołnierze z „pancerfaustami” ale nas nie zatrzymują. Wpadamy na ZYBLIKIEWICZA — a tam na rogu Krzywowej(?) stoi CKM z obsługą. Musimy koło nich przejść i minąć ich — strach okrutny — mogą strzelić w plecy. Biegniemy, na Jabłonowskiej barykada aż po pierwsze piętro. Wbiegamy na stok na drugą stronę ulicy, w ulicę Św. Jacka i zamieramy ze strachu — na mostku leżą żołnierze w furazerkach. A tak cho-

dzili ubrani tzw. „przyjaciele” tzn. Ukraińcy służący w wojsku Niemieckim. Byli okrutni w stosunku do złapanych Polaków. Torturowali ich niewyobrażalnie. Stoimy i boimy się ruszyć, a żołnierze odwracają głowy w naszą stronę i krzyczą z daleka „zdrastwite dziewczuki”. To był już rosyjski front. Przeszliśmy więc linię frontu. Dalej już spokojnie dobiegaliśmy do Tarnowskiego. Niestety, o powrocie na razie nie mogło być mowy. Mieszkaliśmy tam kilka dni, aż do czasu rozpoczęcia akcji „BURZA”. Wtedy dostałyśmy po rulonie afiszy (każda oddzielnie), kubek kleju do kieszeni i biegiem po dzielnicy rozklejać tak, aby nie dać się złapać przez Rosjan, bo „kulka w łeb”. Napotkani dorośli kiwali głowami z dezaprobatą. Ale dla mnie to była jeszcze jedna akcja — rozkaz.

Konspiracyjna prasa lwowska

Szanowna Redakcjo, w zbiorach Archiwum Państwowego w Lublinie natrafiłem na jeden zachowany egzemplarz gazetki podziemnej pt. „Słowo Polskie”, ukazującej się we Lwowie w czasie okupacji niemieckiej i sowieckiej (1942—1944).

Unikat ten wydany został we Lwowie 17 września (sic. L.P.) 1944 r. Trzeci rok wydania oraz kolejny 53 nr, świadczą, że pismo to wydawane było przez podziemne struktury Państwa Polskiego od 1942 r. Treść zawartych artykułów świadczy, iż w żaden sposób gazetka ta nie mogła ukazywać się pod patronatem sowieckim.

Sądzę, że dla potomnych i dla historii warto szerzej zaprezentować ją w całości. Szkoda tylko, że „Słowo Polskie”

zachowało się niestety uszkodzone.

Ciekawe czy żyją jeszcze redaktorzy tych tekstów?

Czy Lwowiacy pamiętają „Słowo Polskie”?

Z pozdrowieniem

Prezes Towarzystwa Przyjaciół Krzemieńca
i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej
mgr Leon Popek

Zał. 4 str. ksero „Słowa Polskiego”.

Zbiory Archiwum Państwowego w Lublinie, „Słowo Polskie” nr 53, Lwów 17.09.1944, ZWZ—AK, Pisma, t. 118, s. 115—116.



**SŁOWO
POLSKIE**

Rok III Nr. 53.

we Lwowie, dnia 17 września 1944.

Cena 2 ruble.

O CO WALCZY WARSZAWA?

Warszawa drugi raz w tej wojnie przeżywa swój bohaterski epos. Szesc tygodni już trwa w nadludzkim trudzie walki z przeważającymi siłami wroga. Wy-nęczona pięcioletnią okupacją, najokrutniejszym terrorem niemieckim, jakiego zna-ła dzieje, wymłodzona, wyniszczona materialnie ludność Warszawy krwią swą do-kumentuje, że jest godna imienia stolicy Polski. Świat cały chyli znowu czoło przed wielkością Niezłomnej Stolicy Niezłomnego Narodu. Serca wszystkich Po-laków na całym świecie żyją. Jej imieniem i w codziennych modlitwach łączą się z walczącymi bohaterami, pragnąc im bodaj w ten sposób pomóc w heroicznej walce.

Od Redakcji

10 lutego mija 56 lat od jednego z największych wywozów obywateli polskich z okupowanych Kresów Wschodnich w głąb azjatyckich terenów ZSRR. O tragedii tych ludzi mówią publikowane w poniższym artykule listy.

Listy od wywiezionych

Krystyna Gorczyńska

W czasie masowych wywozów zimą 1940 r. było wielu krewnych i znajomych moich rodziców. Wszyscy, Ci których przymusowo wywieziono na wschód, wyrwani nagle z domów, przeważnie nie mieli możliwości zabrać ze sobą wielu niezbędnych rzeczy, odzieży i żywności. Dlatego też pisali listy i kartki z prośbą o pomoc. Część tej korespondencji zachowała się u nas do dziś i warto ją przedstawić i zastanowić się nad tym co ci ludzie przeżywali na skutek przymusowej zmiany miejsca i sposobu życia. Jakim była dla nich szokiem. Rodzice moi starali się wysyłać do wszystkich paczki lub pieniądze. Nie było to proste. Władze sowieckie bowiem wyznaczyły miejscowości i urzędy pocztowe, które mogły przyjmować paczki. Nie zawsze było to możliwe we Lwowie. Co jakiś czas i miejscowości i urzędy były zmieniane. Naturalnie znaleźli się we Lwowie ludzie, którzy za odpłatnością jeździli i nadawali paczki. Musieli też być pierwszymi w kolejce bo przeważnie poczta przyjmowała 10 do 20 paczek. Paczki musiały być owinięte i zaszyte i jeszcze osznurowane. W każdej paczce była kasza, cukier, słonina, cebula oraz w zależności od możliwości bielizna i coś z odzieży. Dla osób zesłanych paczka taka dawała możliwość przetrwania przez 1–2 miesiące. Ale osoby te prosiły też o listy i wiadomości gdyż te podtrzymywały je na duchu. Co ci ludzie przeżywali niech świadczą przytoczone poniżej listy.

Pierwszy list pisany jest przez Krystynę Romańską, wychowanicę Wacława Romańskiego (kuzyna Ojca) wraz z nim wywiezioną z Pińska do obl. Archangielskiej. List ten pisany był do Stanisławy Nowakowskiej w Pińsku, która wraz z mężem została zatrzymana przy przekraczaniu granicy i skazana na pobyt w obozie karnym. Los jej męża został nieznany. List nie dotarł więc do adresatki i przesłany został do nas do Lwowa przez Marylę Cetnerowską 17.IV.1940 r. z Pińska. Autorka listu miała około 17 lat.

Droży Wujostwo! Pisałam do Was zaraz po przyjeździe na miejsce to jest miesiąc temu i żadnej odpowiedzi nie mamy, choć dużo z naszych otrzymało już odpowiedź na swoje listy. Co noc mi się śni dom, co noc do niego dążę, ale te myśli trzeba już sobie wybić z głowy, bo my już tu zostaniemy na zawsze. Może jakoś urządzimy życie i we dwójkę zarobimy na życie. Teraz na skutek zawarcia pokoju z Finlandią był nasz się pewnie znacznie polepszy, bo dowóz produktów będzie łatwiejszy i wogóle spokój w sowieckiej Rosji odbije się dobrobytem na naszym życiu. Narazie ciężko bo to zmiana klimatu i warunków wpływa na to. Wszystko mamy, herbata z 2 cukierkami 15 kop. chleb 2–3r 1 kg. Kartofli zupełnie nie ma ani jarzyn. Dobrze jest, tylko nie ma siły do pracy, ale czasem wszystko będzie. Wczoraj było zebranie, więc mówili nam żebyśmy sobie sprowadzili nasiona i zakładali ogrody. Ale nie wiemy jak to urządzić bo jeżeli się całutki dzień jest przy pracy w lesie to potem trudno myśleć o ogrodzie. Zupa mięsna z 1 gr mięsa. Wuj jakoś pracuje, zarobił już 65 rub. ja chodziłam,

a raczej poszłam do odrzucania śniegu na kolei i po 2 godz. wróciłam bo zupełnie nie mam sił, a pracować trzeba obowiązkowo. Miejscowy lekarz stwierdził u mnie gruźlicę i na podstawie tego nie zmuszają mnie narazie do pracy, choć z dnia na dzień pójdę, bo we dwoje z Wują pracy nie wyżyjemy to raz, a po wtóre bezczynność może człowieka zabić. 1 porcja zupy 93 kop. jeżeli jest, ale bardzo smaczna i pożywna. Droży i Kochani! Wuj nie będzie pisał bo jest przy pracy a jak wróci to zaraz kładzie się i leży bez ruchu, więc dlatego piszę ja za niego i siebie, wszak organizm człowieka zużywa się jak każda maszyna. Dziękujemy Wam bardzo za podane nam produkty do wagonu. Nie mogę pisać, myśli się wiążą ale nie tak jak potrzeba. Słowem dobrze jest, a idzie wszystko do lepszego jak się rozgospodarujemy, jak sami widzicie ceny są dostępne jeżeli jest co i za co kupić. Powoli zarobimy na utrzymanie i odzież. Tunio jest z nami, pracuje przy piłowaniu drzewa. Czeka też wieści od Was i adresu Maryli bo chce żeby mu coś niecoś przysłać z pozostawionych rzeczy, bo wszystko będzie i jest, ale chce żeby mu przysłała rzeczy pozostawione. Można przesłać pieniądze i paczki do 8 kg. Tunio prosi żeby Marylka wzięła jego pieniądze u Staniszewskiej i kupiła machorki, zapalek, może płótna jakiegoś do uszycia spodni i przysłała jemu, a ja dodam od siebie niech przyśle jemu jakiegoś tłuszczu, choćby tylko margaryny, naturalnie jeżeli to można jeszcze u Was dostać. O Dziutku i Cioci Zosi dalej nic nie wiemy, może pisała do Was to przyslijcie ich adres. Gdzie jest Ciocia Jadzia. A wujcio Józio pisał? Czy jest w Warszawie? Wogóle proszę napisać co ze znajomymi się dzieje. Gdzie jest p. Pola S., Szelowie itd. Bo choć się już nie zobaczymy to jednak chcemy wiedzieć co się dzieje u Was. U nas zima, mrozy i śniegi wyżej pasa. Tuniovi paczkę proszę zapakować w pudelko z duchty. Z nami jest cioteczna siostra Bronki Budziszewskiej i Henochowa, bo trafiliśmy w szalon drohicki. Pod Moskwą nasz wagon się popsuł więc przetrucili nasz z szalonu Pińskiego w Drohicki. Więc ci co byli z nami w wagonie z naszych stron to ci i są. Jest Past, Poleczuk (to Maryla będzie wiedziała), Poleczuk z Kacek, no i Tunio, reszta z powiatu Drohickiego. Na naszym poseszku jest nas około 1000, a może i więcej osób. Tak wszystko wszystkim, ale za tę "psią kaszę" Ciociu to Bóg mnie w zupełności dostatecznie ukarał. Trudno, z pokorą to znoszę dopóki sił starczy, byleby Wuj jakoś się trzymał fizycznie bo moralnie dobrze jest. Do Tunia taki sam adres, tylko barak nr 4, a nasz 18. Czekamy od Was z wielką niecierpliwością na list. Proszę Tuniovi włożyć do paczki parę kopert i znaczków, może koszulę. W wagonie nie zdążyliśmy się pożegnać ani nic powiedzieć, ale dziękujemy Wam moi najdrożsi za wszystko coście dla nas uczynili. I proszę, szczególnie ja zachowajcie pamięć o nas dobrą. Ja dzielnie staram się towarzyszyć wujciowi na nowej drodze życia, może Bóg nam pomoże, a wy też prosicie Boga nie o powrót ale lekką śmierć, bo my już tu na zawsze. Całujemy Was oboje serdecznie i mocno nasi droży i

kochani, a tak od nas oddaleni teraz Krysia i Wacław. Wujek już przyszedł z pracy ale już śpi, więc nie mam serca go budzić, a jutro o piątej według tutejszego czasu musi wstać i ja też żeby pójść do stołowej w kolejkę po śniadanie. Bo teraz zawsze rozchodząc się żegnamy się. Jeszcze raz całujemy Was mocno. Marylce również serdeczne pozdrowienia przesyłamy i ucałowania, oraz wszystkim znajomym. Czy Danilewicz są w Pińsku? Prosimy o znaczki lub karty pocztowe i atrament. Napiszcie jak w Waszym ogródku, choć z bólem serca ale przeczytamy chętnie. Kwiaty, ptaki, bo u nas tylko martwota.

Ten list pisany 24.III.1940 r. z oblasti Archangielskiej Nuchto-Ozerskij lesopunkt, barak 18

A to kartka Emeryka Łopuszańskiego, kuzyna mego Ojca pisana 21.VIII.1940 r.

Kochany Heniu! Co u Was słyhać dobrego, co się dzieje ze wszystkimi z Ludkiem, Kamusią, Welusią. Czy Zbysio uczy się? Czy miałeś listy od rodziny. Czy otrzymałeś moje dwa listy? Bądź dobry wyslij za zaliczeniem pocztowym 2 kg tłuszczu, machorki, trochę cukru lub cukierków i jakąś starą zupełnie niepotrzebną dla Ciebie marynarkę. Trudno, stało się tak, że jestem goły, ale wytrzymam wszystko żyjąc nadzieją, mam zdrowie, a to dziś najważniejsze. Strasznie jestem niepokojny o Was wszystkich więc proszę o natychmiastową obszerną odpowiedź. Prześlij kaszy jaglanej lub innej, wszystko za zaliczeniem pocztowym nad adresem Nowosybirsk Oblast Zyrianskij rejon, wieś Malinowka 245/3 Wyslij zaraz bo tu nie kupić nie można. Paczki możesz wysłać co 3 tygodnie lub 4 tygodnie to już wytrzymam wszystko. Ściskam Was wszystkich mocno i serdecznie Emek. Nie zaszkodzi kawałek płótna lub materiału na laty.

A teraz 3 kartki pisane przez panią St. Malankiewicz (przypuszczalnie pacjentka Ojca) z Boryasoromanowki obl. Kustanajskaja, Kazachstan. Kartki niezbyt czytelne.

Kartka z 19.V.1940 r.

Kochani Państwo! Piszę z dalekiej krainy z Syberii. Zabrali nas 13.IV. a męża 9.IV. Los nas nie szczędził. Siedzimy od 25.IV. w zapadłej wsi. Lepianki przeważnie. Od stacji 55 km. Mieszkamy po domach gdzie brud. Pracujemy w polu a w zamian dotąd dostaliśmy zaledwie po pudzie ciemnej mąki na rodzinę. Poza tym nie troszczą się nic o nas – skąd mamy (?) z czego żyjemy. Boję się przyszłości, nie chcę myśleć. Wisia przez 10 dni miała gorączkę. Ani lekarstwa, no rozpacz, ani rozpacz, ani ulżyć, drugi dzień jest lepiej. Temperatura niżej 35°. Tutaj zimno, śnieg padał i rano ziemia zamarznęta. Stale wichry i stępy. Nigdzie drzewka nie zobaczy. Smutny krajobraz. My marzniemy bardzo nie wzięłam zaledwie 2 cienkie koce – b. mało. Straciłam zupełnie głowę jak przyszli. Pieniądzy nie mam, ciężko nam żyć. Naczynia nie wzięłam, zależna jestem od gospożyny, a dziś mi powiedziała, że nie da posudy. Jak i z czego żyć – tragedia. O ile dojdzie kartka ratujecie nas, piszcie i przyslijcie co. Serdeczne pozdrowienia i ukłony. Pisałam do wielu znajomych, ale czy ich zastanę. Jest tutaj 30 osób, a w pobliżu też są. Czy Typrowiczoza jest? Piszcie.

Kartka z 27.VI.1940 r.

Kochana Pani!

Dziś dopiero podziękować mogę za pieniądze, tylko gorą-

ce Bóg zapłać. Może Bóg pozwoli kiedyś odwdziżyć się Kochanej Pani. Liczyłam na to, że będę mogła wrócić jak przyjdą nasze pieniądze z NKWD. Okazuje się, że nic nam nie wypłacą i nie troszczą się nami tutaj wogóle. Każdy żyje własnym przemysłem. Nam z Wisią będzie bardzo ciężko żyć. Liczyłam na Lwów, zostawiając mieszkanie całe znajomej. Zawiodłam się na niej. Podobno nic nie uratowali, rozkradli prawie wszystko. Ze sobą b. mało wzięłam. Lęk przed przyszłością. Nasza praca dwudziestoletnia zrujnowana. Wisia chorowała przeszło 10 dni wysoka gorączka – osłabiona. W samą porę dostałam pieniądze od wielu znajomych i paczkę też od dobrych znajomych. Tutaj nic nie dostanie. We wsi ciężko o czarny chleb, a mleko 2 rb. litr, jajka 50 kop., poza tem nic. Jest nas tutaj 30 osób razem. Mieszkamy wszyscy obecnie w szkole. O tyle nam milej i przyjemniej wspólnie. Proszę się dowiedzieć czy p. Czyżewscy są. Pisałam i do nich, żadnej odpowiedzi. O mężu nic nie wiem. Ciężko i smutno żyć. Serdeczne pozdrowienia i ucałowania ślemy St. Malan.

Kartka z 25.V.1941 r.

Kochana Pani. bardzo Pani dziękuję za pamięć o nas, oby tylko ta pomoc była. Jest nam b. potrzebna. Po ostrej i ciężkiej zimie trudno nam przyjdzie żyć w tych warunkach, gdzie jesteśmy wyczerpane fizycznie – nerwowo – materialnie. Drożyna tutaj szalona i ciężko co kupić. Czarna mąka pud. 100–130 rubli, tłuszcz 40–50 rubli. Pieniądze jakie dostałam za rzeczy, jeśli się skończą nie wiem z czego żyć będziemy alej. O mężu nic nie wiem gdzie się znajduje. Co u Państwa? Co p. Zbyszek porabia? Czy mogłabym prosić o książki dla Wiśki? – łacina początki, lektura i z literatury – a mapki Europy, Afryki i Azji przydałyby się nam. Sytuacja beznadziejna, smutek i rozpacz mnie ogarnia. Łączę serdeczne pozdrowienia i ucałowania. S. Malankiewicz.

A teraz list p. Zofii Szafranowej z 29.V.1949 r. znajomej rodziców.

Kochani Państwo! Piszę do Was z daleka nie mając nikogo swojego bliskiego. Jestem w Men – Bulak na fermie 4. Są tutaj lekarki Liebesowa z mężem i synkiem. Finsterbuszowa, Grafowa, Kurzrokowa-Borkowska, Szawłowska z dziećmi i wielu innych. Władzio został. Drodzy moi mam do Was prośbę – nadajcie do mnie depezę, że wiecie o mnie, to mi ulży w tęsknocie. Adres i tekst po rosyjsku. Tylko list trzeba adresować po rosyjsku a tekst po polsku. Napiszcie. List najlepiej pocztą lotniczą. Już po wszystkich znajomych pisałam i do moich sąsiadów Dr Draków, a nikt nie daje znaku życia. Droga pani Ziuniu! Znając złote pani serduszek błagam panią ażeby była łaskawą wstąpić do dozorcowej Marcinowej w kamienicy gdzie mieszkaliśmy i zapytać ją gdzie jest Anielcia moja wierna pomocnica. Jeżeli w mieszkaniu dawnym niech ją zawoła na dół do siebie, a Pani będzie łaskawa przeczytać jej list. Że myślę o niej i martwię się jak sobie daję radę. Czy uratowała coś z rzeczy. Niech bieliznę moją, którą jej darowałam po sztuczce sprzedaje i z tego żyje, albo pojedzie do Andzi Sz. Staszkowej i co może weźmie. Niech napisze do mnie. Gdyby miała coś z prowiantów moich to niech przyśle – w listach poleconych 2 kilowych, które można wysłać – a bardzo mi się przyda trochę herbaty, kakao, keksów, kaszy. Jeżeli nasz lokator Mitia zapłacił za rower, który wziął niech przyśle choć kilkadziesiąt złotych. Ciężko. Ja leżę od kilku dni z nogą zakażoną z przebicia drutem zardzewiałym. Gorączka – a tutaj

Grucy nie ma, ani żadnego podobnego. Tu jest ferma – praca wyczerpująca przy gnoju lub w polu. Już do fortepianu trudno będzie zasiąść. Upały. A zima ma być też b. silna. Za koszule, suknie można dostać jaja, chleb. Od jutra nie będzie mleka, bo jadą koczować z krowami w góry. My narazie zostajemy. Mieszkamy w 10 osób na przestrzeni 3x4. Leżymy na macie na glinie. Kości drą. Wszystkie myśli moje przy Włodku. Niech Aniela moja pamięta o nim i przynajmniej poda mu mydło żeby przepłał sobie 1 parę bielizny. I niech mu poda poduszkę. Gdyby pani Ziunia nie zastała Anieli i dozorcowej to proszę w tej samej kamienicy pójść do p. Lejstenowej III p. przez podwórze lub p. Krosińskiej parter lub Draków, list przeczytać i wszystko opowiedzieć i podać adres mój niech piszą. Semipolatyńska oblasć Ajguzskij rajon, Sowchoz Men-bulak, ferma 4. Od miasta jesteśny 60 km., a od Was 6 tysięcy. Azja centralna. Kochani myślcie o mnie i napiszcie. Podobno można starć się tam w NKWD o powrót – mój – pisałam do Rewińskiego w tej sprawie, że to pomyłka chyba, że ja jako pianistka tutaj nie mogę tak ciężko pracować, a nie mam środków do życia. Próbujcie coś poradzić łącznie ze znajomymi i myślcie o Władziu. Najserdeczniejsze pozdrowienia z daleka dla wszystkich Was drodzy moi. Zosia Szafranowa. Telegram idzie 2 dni – list polecony 12 dni. Piszcie.

I kartka p. Szafranowej z 6. VIII. 1940 r.

Droga Pani Ziuniu! Ucieszył mnie list pani z dnia 14. VII., który dziś z Membulaku przywieziono mi. Jakie macie osobiste zamartwienie, proszę wszystko o Was Kochani Państwo mi napisać! Jak Wasze zdrowie? i dzieci? Ze Sykstuskiej mało do mnie piszą – wogóle gdyby co dzień listy szły dla nas wygnanców wszystko mało. Nie możecie tam zdać sobie z tego sprawy. Ja pracuję “po specjalności” w Klubie żelazno-dorożnym. Proszę tek adresować jak na odwrotnej stronie podaję. Jak pani pewnie wie zrabowano mi wszystko doszczętnie tutaj. Jestem dosłownie golą i bosa. Zima idzie, nie myślę bo obłęd gotowy. Myśli o mężu zabijają mnie. Serce kiepskie, nogi mi obrzękują silnie. Czy wytrwam? Kochani Państwo! Miejcie się dobrze i nie przechodźcie żadnych takich rzeczy. Serdecznie panią całuję, panu ukłony, szczerze życzliwa Zosia Sz.

A teraz inny list z oblasći Semipolatyńskiej.

List pani Kazimiery Pokrzywki z dn. 29. I. 1941 r. z Georgijewki.

Panie Doktorze! Zdala udaję się z wielką prośbą do Pana Doktora. Otóż córka moja znajduje się w bardzo ciężkim położeniu i nie umie sobie poradzić. Jakkolwiek wzięła się do pracy to jednak brak zamówień i surowca sprawia, że z tej pracy wyżyć nie może. A tu jeszcze i mnie musi ratować, bo bez pomocy ze Lwowa ginie się z głodu. Brak pracy. Już myślałam o każdej, ale tu gdzie jestem to wieś, więc nigdzie nie zarobi. Powiat ten na dobitkę naszego nieszczęścia dotknięty nieurodzajem – katastrofalny brak mąki i kartofli. Za 1 pud ciemnej mąki chlebowej płacimy 180 r do 200 r, a kartofle 1 kg wynosi 5 r. Gdyby nie przesyłki z domu to jużby było po nas. W handlu wolnym chleba nie ma, chleb tylko dla pracujących, a ci co pracy nie mają nie muszą jeść. Ale wracam do rzeczy. Chodzi mi o pomoc dla córki, jaka to będzie to pan Doktor na miejscu zdecyduje. Ja zostawiam dosyć materiałów na korony, które Pan Doktor robi, pozatem może z tych środków, które Henio zostawił przydałoby się Panu Doktorowi. Za tem bardzo proszę zająć do mego domu, lub córkę proszę po-

prosić do siebie ażeby coś umówić. Bardzo przepraszam, że trudzę Pana Doktora, ale Hanka napisała mi tak rozpaczliwie, ja czuję, że ona kończy się, gorąco proszę poratować ją, nie zostawić bez porady czy też pomocy. Od męża dostałam już tutaj kartki, jest tam gdzie był ale w znacznie gorszych warunkach. Jak pisze to już trzy miesiące z pokoju nie wychodzi, a mieszkanie, podobnie jak przy Batorego. Stefan jest zdrow i cały, ale nie wiem gdzie. Z mężem koresponduje, ale z wielkimi przeszkodami. Ja się jeszcze trzymam, chociaż klimat mi nie służy. Straszny jest. Zima bardzo ciężka, może jednak da Bóg że przetrzymam. Jeszcze raz proszę i przepraszam Pana Doktora. Serdecznie pozdrawiam całą rodzinę Pana Doktora oraz cały Lwów. Kazimiera Pokrzywka.

Kartka Zofii Rabcewiczowej z pod Archangielska pisana 21. III. 1941 r. (jedna z wielu) do mojej Matki.

Droga Pani Zioniu! Wczoraj otrzymaliśmy paczkę od Was, za którą niewymownie jesteśny wdzięczni oboje (z synem). Doszła szczęśliwie, nawet butelka z tranem się nie rozbiła, z czego bardzo się cieszę, bo wiosna dla dzieci w naszych warunkach jest najgorsza, gdyż odczuwa się największy brak witamin i dzieci po tych miesiącach siedzenia prawie cały czas w wilgotnych i ponurych mieszkaniach są słabe i skłonne do różnych chorób. Dziutek (syn) od czterech tygodni niedomagał chorując na grype, a potem coś mu się zrobiło w górnym żołądku, wciąż miał bóle, zwłaszcza po jedzeniu. Leżał przez 10 dni w szpitalu, ale nic mu nie pomagało, ani dieta, ani leżenie ani lekarstwa. Byłam formalnie w rozpacz, bo miejscowy eskulap sam nie wiedział jak go leczyć. Ja sama wpadłam na szczęśliwą myśl dawania mu na czczo pić wodę. Teraz już prawie jest zdrow i od kilku dni chodzi do szkoły. Widocznie miał zwężenie żołądka, czy ja wiem zresztą co, dosyć, że woda go uleczyła. Bardzo Pani dziękuję za słowa otuchy. Trzymam się jak mogę i staram się nie tracić nadziei choć czasem jest b. ciężko. Od K. miałam w styczniu depeszę z Londynu. Bardzo się ucieszyłam, oby go Bóg tylko zachował. Nie wiem czy pp. wiedzą, o tem, że Stasia jest też zesłana. Dostałam niedawno jej adres. Już pisałam, ale odpowiedzi jeszcze nie mam. Uprzedzano mnie żeby pisać niewiele, bo zdaje się jest ona w innych niż my warunkach. Adres jej (podany po rosyjsku). Nie wiem czy są razem z mężem. Jeszcze raz serdecznie dziękuję w swoim i Dziutka imieniu i zasylam serdeczne ucałowania i pozdrowienia Rabc. z Dziutem. Proszę pozdrowić Mirę i poprosić by napisała do mnie.

Jeszcze 2 kartki od Stanisławy Nowakowskiej kuzynki mego Ojca. Została ona aresztowana z pocz. 1940 r. na granicy z Niemcami i skazana do ciężkiego obozu karnego. Pierwszy jej list był pisany po rosyjsku. Wolno jej było pisać tylko w tym języku raz na 3–4 miesiące. Po przeniesieniu jej do drugiego obozu w 1941 r. mogła już pisać po polsku. Kartki te najprawdopodobniej były przesłane przez okazję.

Kartka z 20. IV.

Moi najdrożsi i Kochani, serdecznie dziękuję Wam za wiadomości o całej rodzinie i te listy, które wszystkie otrzymałam jeszcze w początku marca razem i jedną paczkę, potem drugą i ostatnią kartkę od Was z 2. IV; nie odpisywałam, bo tu wolno pisać b. rzadko, tak że nieraz milczeć muszę po parę miesięcy. Przykro mi bardzo że nie mogę odpisać ani do Was, ani do Waciu, Krysi i Zosi, od których miałam kartki i proszę odpi-

sać w moim imieniu i wyjaśnić przyczynę mego milczenia. Jak tylko będę mogła to napiszę. Od Józia nic nie mam. Piszcie to dla mnie jedyna przyjemność i uczta duchowa. Od początku lutego przeniesiono nas do innego Lagieru. Adres ten sam pocz. skrzynka tylko nr 241/9. Całą jesień i część zimy przechorowałam – 2 miesiące w szpitalu byłam, na jednej nodze róża była, na drugiej flegmona. Wszystko przy wysokiej temperaturze. Byłam b. wyczerpana lecz zawdzięczając paczkom poprawiłam się. Pracowałam w różnych zawodach i fachach, obecnie drugi miesiąc w swoim. Czuję się nieźle tylko okropnie tęsknię i samotnie czuję. Lonio mąż mój kochany, nie wiem gdzie jest i czy żyje. Niektórzy mówią mi, że zmarł w Brześciu. Pisałam, poszukiwałam – nie mam wiadomości. O Was wszystkich wciąż myślę i marzę. Czy Mira pamięta co prosiłam powiedzieć Józiewi? Napiszcie też do niego i uściskajcie ode mnie, chciałabym dożyć tej chwili by samej to zrobić. Dziękuję Zioni za paczki bardzo bardzo – macie zmartwienie i trudności i pamiętacie o mnie. Współczuję Wam, Mirze. proszę o kartkę w odpowiedzi na ten skrawek, koniecznie. Jeżeli można to proszę o podwiązki i jakieś stare wyreperowane pantofle z Zioni (mój nr 38, 39) zresztą każdy będzie dobry. Jestem bez obuwia przy chorych nogach. Przyniesli mi paczkę znajomi i stare uszyte z sukna pantofle. Lecz już porwały się. Może też letnią sukienkę używaną, to przerobię sobie. Wdzięczna bym była b. za jakiś zakieciak lub używany płaszcz imp. czy jonik? Oprócz futra nic nie mam. Tuszczę tymczasem mam, natomiast nie mam w czym ugotować nawet herbatę, proszę o duży kubek emaliowany 1/2 do 1 litr. lub ronderek. Przepraszam za śmiałość. Może można mieć jakieś białe such. lub placuszki, bo tuszczu mam na jakieś 1 1/2 miesiąca jeszcze. Piszcie co wiecie o całej rodzinie. pani W. Trojanowskiej napisz kartkę, że list i paczuszkę od niej otrzymałam. Nie piszę z tej samej przyczyny co i do Was. Całuję uściskam i tęsknię Stanisława N. Może na głowę jaką kolorową chusteczkę lub szmatkę. Do mnie pisać można często, lekarstw nie można posyłać. Wszystkich uściskam. Prawie rok nie miałam listów chociaż do Was pisałam. Kilka też i do innych bo wtedy można było, a teraz trudno.

Następny list przesłany przez okazję z 21.V.41 r.

Kochany Heniu! Już raz pisałam przy okazji do Was w zeszłym miesiącu, bo ja mam prawo pisanie rzadko i dlatego nie mogłam odpisać na wasze listy i dwie paczki. Za jedno i drugie niewymownie wdzięczna Wam jestem. Obecnie proszę Ciebie napisz do Józia by przysłał na twoje imię do mnie kilka słów, a ty prześlesz mi je – bo bezpośrednio nie otrzymałam od niego i pewnie nie otrzymam. Piszcie i Wy czasami bo bardzo tęskno i jestem niespokojna czy u Was wszystko pomyślnie. Czuję się niby nieźle, tylko coś nogi znowu mnie bolą i puchną bardzo, a do tego jeszcze tu zimno i wilgotno – obuwia nie mam wcale. Pracuję od dwu miesięcy w swoim zawodzie, warunki pracy trudne lecz wolę to niż jaką inną pracę. U Was pewnie już wiosna są kwiaty i drzewa zielone, a tu nic nie ma, widziałam kaczęńce dopiero. Napisz czyście otrzymali moją kartkę okazynie pisaną około 20 kwietnia. Adres mój: (podany po rosyjsku), bo jestem w innym, lagierze. Całuję serdecznie Ciebie, Zionię i Krysię. Stanisława.

Na zakończenie chcę przedstawić listy mojego Stryja dr Ludwika Gorczyńskiego z Borysławia, który został aresztowany przez NKWD jeszcze w październiku 1939 r. zadenuncjowany jako Endek. Siedział w kilku więzieniach, aż 16.IV.1941

r. wywieziono go z Kijowa do Pawłodaru i zwolniono z więzienia skazując na osiedlenie w Fiodorowce i prowadzenie malego szpitala i ambulatorium.

Po 2 telegramach, które Stryj wysłał do nas i po otrzymaniu na nie odpowiedzi otrzymaliśmy kartkę z 15.V.41 r. z Fiodorowki. Oto jej treść:

Kochani Heniowie! Niezmiernie wdzięczny jestem Tobie Kochany Heniu za odpowiedź na mój telegram i drugi telegram do mnie przysłany, na który też zaraz odpowiedziałem. Jestem zdrow, powracam powoli do sił, ale pomimo to wyczerpanie daje mi się we znaki. Szczególnie przykre jest następstwo życia więziennego – obrzęki nóg około kostek, ale przypisuję to tylko chwilowemu osłabieniu serca. Teraz staram się więcej zjeść coś pożywniejszego, tembardziej, że i robotę mam dużą i odpowiedzialną, ale z jedzeniem w tych okolicach jest dużo trudności. Głównie jednak jestem szczęśliwy, że wszyscy żywi i zdrowi, że moja Kochana Sławusia biedaczka nie poniewiera się gdzieś, ale przebywa wśród swoich. Tylko podajcie mi dokładny adres Piotrowskich, gdyż nie wiem już dziś gdzie mieszkali. Co słychać u Janków, Mieczków, Julków. Gdzie są wujostwo Wehrsteinowie. Miłowie Wehrsteinowie, a Bronkowie Lisowie, Komorowscy, Luniewscy – czy wszyscy na miejscu? Czekam na wiadomości choćby na awio-kartce i proszę jeszcze raz jeżeli możecie przyslijcie prowianty, jakąś brzytwę do golenia. Łączę moc ucałowań dla Was i dzieci i wszystkich. Ludwik.

Po tej kartce przyszedł list z 18.V.41 r.

Kochani Heniowie, Kochana Sławusiu i Kochani wszyscy, wszyscy! Ponieważ nie wiem jeszcze gdzie mieszkają Piotrowscy a z nimi i Sławusia, piszę nieco obszerniej i do Was i do Niej i do wszystkich drogich mi osób, więc bądźcie tak dobrzy przy sposobności albo powiadomcie wszystkich albo dać im do przeczytania list niniejszy.

Wczoraj minęło już 2 tygodnie jak przywieziono mnie z Kijowa do Pawłodaru i zwolniono z więzienia. Z Pawłodaru NKWD wyznaczyło mi osiedlenie w Koczyrach, a z Koczyr ekspozytura władz po porozumieniu z Rajzdrawem – osiedlenie w Fiodorowce i prowadzenie tam niewielkiego szpitala i ambulatorium. Siedzę więc w Fiodorowce od 9.V. po południu, więc prawie 10 dni i pracuję w szpitalu. Urządziłem się narazie nieźle, mieszkam w samym szpitalu, mam tu pokój, łóżko, stół, krzesło, obiady i wikt wogóle otrzymuję od Zarwochoza – zarządzającego gospodarstwem szpitalnym, warunków jeszcze nie omówiliśmy, ale trudności z wiktem tu są duże, jest jednak nadzieja, że w krótkim czasie, w zależności od urodzaju warunki te polepszą się. Pracuję 8 godzin. Z rana robię wizytę w szpitalu poczem rozpoczynam ambulatorium i tak trwa do godziny 4 popołudniu. W międzyczasie zjadam śniadanie i obiad, po 4 wybieram się z wizytą do chorych i tak schodzi mi cały dzień, wieczorem kolacja i sen. Wogóle dzień tu wydaje się bardzo długi, a może jest doprawdy taki, bo gdy słońce zajdzie a jest jeszcze bardzo widno, zegar już wskazuje 9–10 wieczór. Przepiękne są tu wschody słońca: gdy rozpoczyna się brzask, po chwili wstaje w całej swej wspaniałości kula ognista słoneczna i rozciąga taką masę purpurowego światła, że stoisz jak zahypnotyzowany tym przepięknym widokiem. Życie prowadzę ciche, spokojne, wypoczywam po 19 miesięcznej wędrówce i przeżyciach. Jestem zdrow i powoli przychodzę do sił. Czekam od Wasianowicza Twojej Heniu Kochany przesył-

ki z rzeczami i pieniędzy. Posłałem mu na chybi-trafi poleconą awio-krtkę na adres: *Priedmostnaja Słabodka w Kijowie*, przypuszczam że ją otrzymał. Proszę Was bardzo o przysłanie mi trochę wiktuałów, bielizny, 2 dniennie koszule, 2 p. kalessonów, pończochy letnie i zimowe, półbuciki żółte, spinki do mankietów i kołnierzy, brzytwę, chustek, ręczników, pióro wieczne, papier listowy z kopertami, parę bloczków papieru do odrywania, kalendarz. Ubranie już mocno podniszczone trzyma się jeszcze, ale długo nie wytrzyma. Jeżeli będzie możliwość przysłicie i ubranie. Napiszcie mi dokładnie o mojej *Stawusi* i jej losach. Do Bronka Lisa pisałem. Czekam od wszystkich odpowiedzi. Piszcie przez pocztę lotniczą. Ściskam i całuję was wszystkich jak najmocniej. Ludwik.

Jeszcze ostatni list z 23.V.1941 r. po tym 22.VI. Niemcy ruszyli na wschód i cała korespondencja się urwała. List ten powtarza wiele spraw poruszonych w poprzednim liście, dlatego przytoczę tu tylko niektóre fragmenty dotyczące warunków pracy.

Do Fiedorowki przyjechałem na polecenie Raj-zdrawa dnia 9 maja i objąłem niewielki szpital urządzony na 10 łóżek i salkę porodową na 2 łóżka. Pracy mam dużo szczególnie teraz gdy ludność oczekuje od nowego lekarza wprost cudów, więc i ambulatorium pełne i w szpitalu wszystkie prawie miejsca zajęte i domowych wizyt nie zbywa, a trzeba nieraz jeździć i do 20 km odległych sąsiednich wsi i kolchozów. Mam do pomocy oczywiście personel: akuszerkę, aptekarkę i tzw. medsiostry i te mają sobie wyznaczone zadania, ale oczywiście, że co do mnie należy muszę wykonać sam. Mimo tych zajęć jestem zadowolony, że wreszcie oddycham świeżym powietrzem, patrzę na Świat Boży i słońce, że nie siedzę przymusowo beczynnie, że pracuję... W Fiedorowce mieszka coś kilka rodzin polskich, ale te są przeważnie z pod Kowla i Lucka. W Koczyrach jest ich trochę więcej, bo i wieś jest większa i stanowi pewien ośrodek administracyjny i władz rejonu. Oczywiście przede mną na stanowisku kierownika była tu Polka p. dr Skowrońska z Sochaczewa z córeczkami i ciotką p. Kuczkowską z Białego-stoku, ale ona została przeniesiona na inne stanowisko do wsi Woskriesienki.

W dalszych częściach listu są znów zapytania o bliskich i prośby.

Czytając te listy można zwrócić uwagę, że część tych osób wywiezionych nie mogła zrozumieć dlaczego je wywieziono. Są to Krysi Romańska, p. Malankiewiczowa i p. Szafranowa. Wyrwane z domów, wywiezione w zupełnie obce, wrogie im strony, były zszokowane, nie znały języka i czuły się tak jakby ich dotychczasowy świat się zawalił. Autorzy pozostałych listów, krewni mego Ojca (Łopuszański, Romański, Nowakowska, Gorczyński) to osoby, które pochodziły z Podola i okolic Kijowa, Odessy, które przeszły rewolucję i przedostały się do Polski w latach 1918–1920. Dla nich wywózka nie była czymś nieznanym. Poza tym wszyscy znali język rosyjski i mogli się łatwo porozumieć. Wszyscy autorzy prosili o wiadomości, o znak, że się o nich pamięta, prosili też o szereg podstawowych dla nich rzeczy oceniając sytuację gospodarczą we Lwowie tak jak przed wojną. Nie zdawali sobie sprawy, że we Lwowie i na innych terenach zajętych przez bolszewików panował głód, wszystko było zrabowane. Po podstawowe artykuły stało się od północy w ogonkach. Otrzymywało się po 1/2 chleba z formy, który był jak glina. Cukier w formie żółtej i wilgotnej otrzymywało się w ilości 10 dkg na osobę, ale nie było opakowań i trzeba było mieć ze sobą jakieś naczynie, papier, szmatkę lub gazetę do których odważano cukier. Aby otrzymać te artykuły większość osób zajmowała sobie w kolejce po kilka miejsc. Jedynym artykułem, który można było łatwiej dostać to były śledzie solone.

Pisząc to chciałam zwrócić uwagę tym, którzy teraz tak bardzo na wszystko narzekają, że były dla nas czasy bardzo ciężkie i trudne a mimo to większość z nas potrafiła je przetrzymać. Jeżeli czytelnika interesują losy autorów tych listów to informuję, że Łopuszański i Romański zginęli w łagrach, los Krysi Romańskiej i p. Malankiewiczowej nie jest mi znany, p. Szafranowa wróciła i po wojnie mieszkała we Wrocławiu, Nowakowska i Gorczyński wyszli z armią gen. Andersa. Stryj mój przeszedł cały szlak Bojowy, walczył o Monte Casino. W 1948 r. wrócił do kraju i zmarł w Tarnowskich Górach w 1953 r. Stanisława Nowakowska wróciła do Polski i zmarła w Warszawie.

Przy przepisywaniu tych listów zachowałam dokładnie ich treść, zwroty, gramatykę i pisownię.

Jerzy Masior

DO CIEBIE, OJCZE, DZIŚ SIĘ MODLĘ

Za ciebie ojciec dziś się modlę,
Za ciebie matko me pacierze
Za was i za mnie kiedy wątpię
I kiedy jeszcze trochę wierzę.

Za ciebie ojciec — z ciebie ojciec
Chodzę dziś prasto chociaż z trudem
Ku twoim dłoniom — moje dłonie
Chronią mój płomień w wiatrach złudzeń.

Za ciebie mamo - z ciebie mamo
Zapalam serca po lichtarzach
Poustawianych w progach spotkań,
Na które jeszcze się odważę.

Do ciebie ojciec dziś się modlę,
Przed tobą klęczę mamo, mamo
Przebaczcie proszę, żem się ważył
Życ po was jeszcze i tak samo.

Ksiądz Bela Varga — wielki przyjaciel Polaków

Władysława Dyrzc

13 października 1995 r. zmarł w Budapeszcie protonotariusz apostolski ksiądz Bela Varga, postać szczególnie bliska sercom Polaków, którzy w czasie II wojny światowej znaleźli schronienie na Węgrzech.

Moje osobiste wspomnienia o księdzu Beli Vardze, a właściwie Beli Bacsí (wujku Beli, bo tak go wtedy nazywaliśmy), dotyczą lat 1940–1944, w którym to okresie byłam uczennicą polskiego gimnazjum w Balatonboglar na Węgrzech, a ksiądz Varga był proboszczem, w tej parafii. Balatonboglar — mała miejscowość uzdrowiskowa była w owych wojennych latach siedzibą nie tylko tylko polskiej szkoły państwowej, gimnazjum i liceum lecz również obozu polskich oficerów i polskich uchodźców cywilnych. Przejściowo przebywali tu także żołnierze francuscy i angielscy zbiegli z niemieckich obozów jenieckich. Szczegółową opieką nad młodzieżą polską sprawował ksiądz Bele Varga.

Opiekę tę powierzył mu już w listopadzie 1939 r. — w poufnym liście skierowanym do premiera Węgier Telekiego — Kardynał Krakowski Ksiądz Adam Sapięha. Z inicjatywy księdza Vargi oddano w Balatonboglar na użytek młodzieży polskiej i Polaków, dziesiątki pensjonatów, willi oraz 2 hotele. Dla polskiego gimnazjum wybudowano parafialny dom kultury, tu oprócz codziennych lekcji, odbywały się uroczystości z okazji naszych świąt narodowych i religijnych, działał zespół muzyczny i taneczny oraz chór. Parafialny Dom Kultury w Balatonboglar zwie się po dzisiaj dzień Domem Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, a pamiątki związane z pobytom Polaków na Węgrzech są w nim pieczołowicie przechowywane.

Ksiądz Bela Varga kochał nas, polską bezdomną wówczas młodzież. Dbał nie tylko o nasze warunki bytowe i zapewnienie nam możliwości nauki, ale i sam uczył nas historii i literatury węgierskiej.

Razem z nami modlił się odprawiając nabożeństwa w ukochanym przez nas kościele parafialnym, wygłaszał specjalne do nas kierowane kazania. Na zakończenie mszy św. śpiewaliśmy Boże coś Polskę, przetłumaczoną — dzisiaj już nie pamiętam przez kogo — na język węgierski.

Mniej znana była wówczas — z przyczyn zasadniczych — działalność polityczna księdza Vargi.

Był on działaczem i przewodniczącym Partii Drobnych Rolników, ale przede wszystkim był wielkim patriotą węgierskim nie godzącym się z dominacją niemiecką nad Węgrami. W swej działalności politycznej kierował się zawsze wielką przyjaźnią do Polski i narodu Polskiego. Jako poseł do parlamentu korzystał ksiądz Bela Varga z ochrony immunitetu, co dawało mu możliwość bardziej swobodnego działania z wyjazdów zagranicę. Pozostawał w ścisłym kontakcie z kierownictwem polskiego ruchu oporu na Węgrzech tzw. placówką "W" jak również z polskim rządem emigracyjnym w Londynie.

Nasi kurierzy z kraju często w Balatonboglar czekali na przerzut, lub odpoczywali po wyczerpujących trasach. W 1942 r. gdy nasza placówka w Budapeszcie nie była w stanie przetrwać poza tereny okupowane przez Niemców sławnego kuriera Tadeusza Celta (pochodzącego z Drohobycza). Ksiądz Varga osobiście przewoził go przebranego w sutannę do Szwajcarii. Podobnie w 1943 r. ukrywany był na parafii w Balatonboglar, a następnie przetransportowany do Szwajcarii Marian Mikołajczyk, syn Stanisława Mikołajczyka premiera rządu emigracyjnego w Londynie.

Ksiądz Varga wykorzystał do tego celu paszport swego brata również księdza.

W Boglar przebywał przez krótki czas w 1941 marszałek Polski Rydz Śmigły — także pod opieką księdza Vargi. Po wojnie ksiądz Bela Varga działał nadal w partii Drobnych Rolników, a nawet był przewodniczącym parlamentu węgierskiego, wobec jednak nasilającej się fali represji komunistycznych i grożącego mu aresztowania musiał potajemnie opuścić kraj. Zamieszkał w USA, gdzie przez kilka dziesiątków lat pełnił



Marian Mikołajczyk, kurierka Maria Hulewicz i ks. Bela Varga. Zdjęcie wykonano w Balatonboglar przed wyjazdem syna premiera.

(„Polityka”, nr 44, 1995)

obowiązki przewodniczącego Węgierskiego Komitetu Narodowego, którego celem było doprowadzenie przez Węgry niepodległości.

W Nowym Jorku był również przewodniczącym Zgromadzenia Europejskiego Narodów Ujarmionych. Współpracując ze Stanisławem Mikołajczykiem, z którym był w serdecznej przyjaźni. Na Węgry wrócił w 1990 r. na zaproszenie premiera Józefa Antalla, syna swego przyjaciela i wielkiego przyjaciela Polaków z czasów wojny, Józefa Antalla seniora. Miał zaszczyt wygłoszenia przemówienia inauguracyjnego działalności pierwszego po wojnie demokratycznie wybranego parlamentu węgierskiego. Jeszcze w Nowym Jorku uhonorowany został przez Rząd III Rzeczypospolitej komandorią Orderu za Zasługi dla RP. We wrześniu 1991 r. byłam wraz z 50-osobową grupą byłych boglarczyków w Balatonboglar. Mieliliśmy wielkie szczęście spotkania po 47 latach naszego ukochanego wujka Beli. Mimo ciężkiej choroby przyjechał z Budapesztu, by odprawić dla nas mszę św., poświęcić tablicę, jaką ufundowaliśmy ku czci i pamięci naszych zmarłych polskich i węgierskich opiekunów, a przede wszystkim — by spotkać się z nami. Zaproszeni zostaliśmy również do jego budapeszteńskiej rezydencji na lampkę wspaniałego węgierskiego tokaju. Było to moje ostatnie spotkanie z księdzem Vargą. W październiku 1995 r. spoczął na zawsze w podziemiach Kościoła w Balatonboglar. Wśród tłumu żegnających Go wiernych i władz państwowych nie zabrakło delegacji Stowarzyszenia Boglarczyków z Krakowa, która w imieniu nas wszystkich oddała ostatni hold swemu czcigodnemu Opiekunowi.

(We wspomnieniach wykorzystałam informacje o księdzu Beli Vardze artykułu prof. Franciszka Budzińskiego, zamieszczonego w czasopiśmie „Przegląd Polski”.)

Kazachstańskiej zsyłki dni pierwsze

(Fragmenty książki pt. POLACY W KAZACHSTANIE 1940-1946. ZESŁAŃCY LAT WOJNY, przygotowanej do druku we wrocławskiej oficynie wydawniczej w „KOLORACH TĘCZY”)

Stanisław Ciesielski

W latach 1940-1941 władze radzieckie na okupowanych ziemiach II Rzeczypospolitej przeprowadziły cztery wielkie operacje deportacyjne. Przymusowo wysiedlonych bydłymi wagonami powieziono na północne tereny Rosji europejskiej, na Syberię oraz na Kazachstan. Na tym ostatnim obszarze zesłańcy z Polski znaleźli się w większości w wyniku deportacji z kwietnia 1940 roku. Polskie szacunki wskazywały, iż wywózka ta objęła ok. 300 tys. osób. Na początku 1942 r., a więc już w trakcie dokonujących się po tzw. amnestii masowych przemieszczeń ludności polskiej, w ambasadzie polskiej w ZSRR szacowano liczebność zbiorowości obywateli polskich w Kazachstanie na ok. 113 tys. Natomiast z ujawnionych ostatnio dokumentów NKWD wynika, iż w kwietniu 1940 roku wywieziono do Kazachstanu 60-61 tys. osób. Stosunkowo mniej liczne grupy polskich zesłańców znalazły się tam w wyniku deportacji przeprowadzonych w lutym 1940 roku (ok. 5 tys. osób) oraz późną wiosną 1941 roku (ok. 15 tys. osób).

Ogromna większość deportowanych do Kazachstanu trafiła na wieś. A były to przeważnie kobiety, dzieci i osoby w podeszłym wieku, w większości pochodzące z ośrodków miejskich i środowisk inteligenckich, nie mające przygotowania do ciężkiej pracy fizycznej i do życia w prymitywnych warunkach, w dodatku w surowym kontynentalnym klimacie. Ponurą perspektywę i zarazem poczucie bezprzykładnego poniżenia przyniosły już chwile wyładunku z kolejowych wagonów po parotygodniowej, odbytej w bardzo ciężkich warunkach podróży. Bywało, że natychmiast postawione były ciężarówki, bądź konne podwozy, którymi deportowani rozwożeni byli do miejsc przeznaczenia. Bywało jednak, że musieli nawet 2-3 dni oczekiwać na transport na rampie kolejowej, na jakimś placu czy też wprost w polu. Odjazd do miejsc przeznaczenia był często poprzedzany upokarzającą procedurą wybierania poszczególnych osób i rodzin przez przedstawicieli kolchozów i sowchozów. „Czułem się jak na targu niewolników” — napisze później we wspomnieniach niejeden z zesłańców.

Ze wspomnień zesłańców wylaniają się jakby dwa modele postępowania z nimi po dowiezieniu do miejsca osiedlenia. Bardzo często, zwłaszcza w kolchozach, wyladowywano ich wraz z dobytkiem i pozostawiano samym sobie na środku drogi czy placu. Czasem i 2-3 dni koczowali pod gołym niebem nim udało się im znaleźć jakiś dach nad głową u miejscowej ludności, odplacając się odzieżą, pościelą czy drobnymi sprzętami przywiezionymi z kraju, lub składając obietnicę pomocy w pracach gospodarczych. Ludzie nie dysponując odpowiednimi dobrami, nie nadający się do pracy czy też obarczeni licznymi dziećmi mieli na ogół kłopoty ze znalezieniem mieszkania.

Drugi model postępowania, występujący najczęściej w sowchozach, ale także w wielu kolchozach polegał na umieszczeniu zesłańców w jakimś pomieszczeniu pozostającym w dyspozycji przedsiębiorstwa rolnego lub na urzędowym przydzielaniu ich na kwaterę do miejscowych rodzin. W tym pierwszym wypadku rodziny polskie trafiły do szop, do często nie

oczyszczonych z nawozu stajni i obór, opuszczonych i rozpadających się ziemianek. Zdarzało się, że w pustej izbie o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych, bez drzwi i okien, z rozbitym paleniskiem, umieszczano nawet po kilka rodzin. Administracyjne skierowanie do domu miejscowej rodziny niekiedy nie pozostawało bez negatywnego wpływu na jej stosunek do zesłańców, choć pamiętniki poświadczają wiele zrozumienia ze strony kolchoźników i robotników sowchozowych.

Gdy zesłańcy trafiali do względnie bogatego kolchozu zamieszkanego przez Rosjan czy Ukraińców, mieli niekiedy szansę na zakwaterowanie nawet w drewnianej chacie z oddzielną kuchnią i pokojem, czasem nawet z drewnianą podłogą. Gorzej było w kolchozach czy sowchozach młodych, zamieszkałych przez niedawno tu zesłaną ludność. Tam domy były prymitywniejsze i gorzej wyposażone — najczęściej lepianki z darni lub niewypalanej cegły. Najgorzej jednak było w kolchozach kazachskich, na ogół biednych i zaniedbanych, gdzie dominowały nędzne ziemianki. W jednej z relacji czytamy: „Budynki małe — lepianki, wilgotne, brudne (auli kazachski) bez podłóg — rodziny polskie mieściły się po kilka w jednym pokoiku lub kuchni — same czy też z tubylcami, a z braku mieszkań w tzw. „prigonach” (dobudówkach przeznaczonych dla zwierząt hodowlanych — przyp. S.C.), w których gnój od kilku lat nie był ruszany, a zasłany sianem lub trzciną służył na legowisko dla Polaków”. Nieodłącznym atrybutem owych prymitywnych mieszkań było zatrzęsienie rozmaitych insektów. Polacy, znalazłszy się w takich warunkach, przeżywali wstrząs. Otwierająca się przepaść cywilizacyjna była tak głęboka, że wielu nie potrafiło znaleźć się w nowej sytuacji. Niejednokrotnie szok wywoływało także pierwsze zetknięcie z miejscową ludnością. Obok Rosjan i zesłanych w latach trzydziestych Ukraińców w wielu kolchozach mieszkali także Kazachowie, a część Polaków trafiła do kolchozów czysto kazachskich. Miejscowi byli najczęściej wcześniej przygotowywani przez władze na przyjazd deportowanych z Polski, których w zapowiadano jako „panów”, „krwiopijców”, „burżujów”, „wrogów władzy radzieckiej”. Starsi, zwłaszcza jeśli sami doświadczyli zesłańczej tragedii, podchodzili często do tych zapowiedzi ze sceptycyzmem, jednakże młodzież dawała im wiarę, a czasem uważała za swój obowiązek okazać niechęć przybyłym Polakom.

Egzotyka nowo przybyłych wywoływała wielkie zainteresowanie tubylców, zwłaszcza Kazachów. Niekiedy tłum witający przybyłych napawał Polaków wręcz strachem, gdy wysiadając z ciężarówek czy furmanek spostrzegli ludzi o mongolskich rysach twarzy, posługujących się niezrozumiałym, gardłowym językiem, dziwnie ubranych i nie zawsze demonstrujących zadowolenie. Bywało wszakże, że Polacy stykali się z oznakami współczucia i zrozumienia ich trudnej sytuacji, z próbami udzielenia im pomocy i takiego zorganizowania pobytu, by po prostu mogli przeżyć. Aktem wsparcia było np. znalezienie zesłańcom możliwie najlepszych kwater i pracy.

Wielkie zainteresowanie przybyszami z Polski owocowało sytuacjami opisanymi przez wielu pamiętnikarzy. Stali się oni

obiektem bezceremonialnych i często natarczywych „ogłędzin”. Polacy czuli się niekiedy jak zwierzęta wystawiane na pokaz. „Scena, która się rozegrała zaraz potem przypominała raczej ogród zoologiczny” — czytamy w jednej z relacji. — „To nasz pokój był rodzajem klatki, w której mama i inne panie okrywając się koldrami (bo były w nocnych koszulach) stały boso na swoich posłaniach, naprzeciw drzwi dwuskrzydłowe otwarte na całą szerokość były wypełnione szczelnie głowami mężczyzn o mongoidalnych rysach. [...] ludzie ci patrzyli na nas jak byśmy byli małpami w klatce”. Pierwszy lub drugi dzień pobytu na zesłaniu przynosił też rozstrzygnięcie innego ważnego problemu — zatrudnienia. Szczególnie głęboko w pamięci zesłańców zapadły jakże często właśnie wtedy słyszane słowa: „kto nie pracuje, ten nie je”. Ta zasada miała określać warunki ich bytowania. Rzeczywistość pod tym względem była jednak złożona. W wielu rejonach Kazachstanu występował wówczas — co paradoksalne — brak pracy. Egzekwowanie jej obowiązku w stosunku do osób uznanych za zdolne do jej wykonywania było więc przynajmniej początkowo zróżnicowane w zależności od lokalnych sytuacji. Część zesłańców zetknęła się wręcz odmową zatrudnienia w kolchozach. Sytuacja nie była najgorsza, jeśli mogli znaleźć pracę w obejściach i na działkach przyzagrodowych kolchoźników. Ale zwłaszcza zimą i

wczesną wiosną były z tym często problemy. Bez pracy zaś nie było środków do życia. W relacjach najczęściej jednak potwierdzany jest przymus pracy stosowany już wobec kilkunastoletniej młodzieży, czasem nawet wobec 8-12 letnich dzieci. Oczywiście było, że zesłańcy przyjmowali takie / sytuacje jako kolejną formę represji. Jednakże podejście do perspektywy zatrudnienia było bardziej złożone. Ci, którzy przywieźli ze sobą znacznie większe zapasy żywności, bądź dysponowali dużą ilością atrakcyjnych artykułów na wymianę za żywność, byli przynajmniej początkowo zdecydowanie niechętnie nastawieni do podejmowania pracy, widząc w niej wyłącznie element zniewolenia. Długo ludzono się przy tym nadziejami na rychłą zmianę położenia i powrót do rodzinnych stron. Odmienne musieli zapatrywać się na to zagadnienie zesłańcy, którzy zostali bez znacznie większych zasobów. Im praca jawiła się nie tylko jako represja i forma udręki, ale jako źródło środków do życia.

Pierwsze dni na zesłaniu były dla wielu Polaków szokiem. Trafiali w świat zupełnie obcy nie tylko w sensie geograficznym, ale przede wszystkim kulturowym. Zrozumienie panujących w nim reguł i znalezienie sposobów przetrwania było podstawowym zadaniem zesłańców.

Echa gwiazdki

Danuta Tabińska-Juhasz

W skomercjonalizowanym świecie, w dobie pogoni za pieniądzem, gdzie na co dzień jesteśmy świadkami wojny na górze o „stolki”, o władzę i pieniądze, miło jest spotkać się z ludźmi, którzy zachowali jeszcze dobroć i potrzebę dzielenia się z innymi bardziej potrzebującymi. Nie pierwszy już raz społeczeństwo Wrocławia i okolic odpowiedziało na apel Fundacji o przynoszenie paczek gwiazdkowych dla dzieci polskich za wschodnią granicą. Tegoroczna gwiazdkowa akcja charytatywna była nad podziw udana. Pomimo zmiany adresu Fundacji, oraz ogólnegoubożenia społeczeństwa, przynoszono spore paczki z dokładnym opisem przeznaczenia (np.: chłopiec 8–9 lat, lub dziewczynka 5–6 lat), tzn. że były w paczkach oprócz słodyczy zabawki lub ubrania dla takich właśnie dzieci. Pomogło to już na miejscu bez otwierania paczek obdarować właściwe dzieci. Ponadto na konto bankowe Fundacji wpływały datki pieniężne od osób prywatnych, jak też z bardzo oddalonych naszych Oddziałów TML i KPW np. Olsztyna. Kwoty te pozwoliły Fundacji na zakup słodyczy, art. spożywczych i zapakowanie 94 paczek dla dzieci z polskich przedszkoli we Lwowie. Pragniemy podziękować wszystkim tym, którzy przyczynili się do radości naszych rodaków za wschodnią granicą. Dziękujemy również wrocławskim mass–mediom za bezinteresowne publikowanie naszych apeli. Poniżej cytujemy podziękowania ze Lwowa.

Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej serdecznie dziękuje za inicjatywę podjętą przez Fundację akcję zbioru prezentów gwiazdkowych dla naszych dzieci. Tego roku bardzo hojnie zostały one obdarowane i na Św. Mikołaja i na gwiazdkę, za co jesteśmy bezmiernie wdzięczni w imieniu naszych maluchów wszystkim kto się przyczynił do tego aby nasze dzieci zapamiętały ten dzień na długo.

Potwierdzamy przekazanie nam przez p. B. Seńczuka 94

podarków ze słodyczami, które wystarczyły nie tylko dla dwóch przedszkoli, ale również dla biednych dzieci nie chodzących do przedszkola jak również dla biednych dzieci w naszych oddziałach.

Wszystkie 29 paczek z napisami „chłopiec 8–9 lat” itp. trafią do naszych oddziałów. Przy przekazywaniu tych paczek będziemy przypominali o potrzebie podziękowania ofiarodawcom pisemnie.

Jeszcze raz serdecznie dziękujemy za wspaniałe gwiazdkowe prezenty, a z okazji Świąt Bożego Narodzenia składamy Pani i całemu zespołowi Fundacji najserdeczniejsze życzenia dobrego zdrowia szczęścia w życiu osobistym oraz sukcesów w pracy, która jest nam bardzo potrzebna.

Z poważaniem
W imieniu TKPZL
Sekretarz Odpowiedzialny TKPZL
mgr inż. Bolesław Sudomlak

Pragniemy ponadto poinformować, że wśród ponad 80 Oddziałów i Klubów TML i KPW w całej Polsce większość zorganizowała pomoc świąteczną dla Rodaków pozostałych na Kresach pld-wschodnich. Między innymi dwie świąteczne paczki żywnościowe dla starych samotnych Polaków we Lwowie wysłał Klub „Leopolis”. Klub „Orląt Lwowskich” z Wrocławia oraz Oddział TML i KPW w Kluczborku. Te „charytatywne” informacje kończą optymistycznym akcentem. Dzięki staraniom Prezesa Federacji Organizacji Kresowych p. St. Mitraszewskiego uzyskano dotację w wys. 300 milionów st. złotych na pokrycie kosztów transportu pomocy charytatywnej dla Rodaków na Wschodzie, z której skorzystały liczne stowarzyszenia Kresowe w Polsce realizujące tę pomoc. Niestety coraz większym problemem staje się transport darów na Wschód. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” apelowała już wiele razy o auto typu „bus”, ale jak dotychczas bez skutku. A myślimy już o zorganizowaniu pomocy na Wielkanoc.



Moi kochankowie

(cd z poprzednich numerów)

Ludwika Castori-Dąbrowska

W maju 1945 r. Rząd Tymczasowy wezwał aktorów Teatru Polskiego we Lwowie do wyjazdu na Śląsk, gdzie byliśmy potrzebni. „aby zanieść rodakom ze Śląska słowo i pieśń polską, znak wolności i pokoju!”. Organizacyjna koncepcja komisji w sprawie „repatriacji” Zespołu Polskiego Teatru we Lwowie na Śląsk, zakładała początkowo możliwość indywidualnych wyjazdów aktorów wraz z rodzinami. Jednak kierownictwu teatru chodziło o to, aby dorobek artystyczny i materiały sceny polskiej przenieść w całości.

Nie wszyscy aktorzy zdecydowali się na wspólny wyjazd. Trzeba było przedyskutować i wyjaśnić i wyjaśnić stanowisko całego zespołu. Rozpoczęły się zebrania Rady Artystycznej. Przytaczam tu jeden z ważniejszych protokołów zebrania:

Prokokół

Ogólnego Zebrania Pracowników Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego — odbytego w sali Polskiego Teatru we Lwowie przy ul. Jagiellońskiej 11, w niedzielę dnia 24 czerwca 1945 r. o godz. 12 w południe.

Na porządku dziennym:

1) Wybór Prezydium Zebrania.

2) Sprawozdanie z podróży do Krakowa, Łodzi, Warszawy, Katowic i Bytomia — dyr. Dąbrowskiego Bronisława i Kol. Szymańskiego Alfreda.

Na wniosek Przewodniczącego Zebrania Kordowskiego Jerzego przystąpiono do wyboru Prezydium, w skład którego weszli:

1) Żytecki Edward

2) Kuligowski Filip

3) Lewicki Kazimierz.

... Dyr. Dąbrowski wyjaśnił zebraniem cel swojej podróży do Krakowa, Łodzi, Warszawy i Bytomia. W krótkich słowach przedstawił sprawę wyjazdu naszego Teatru na zachód, następnie zwrócił się do Kol. Szymańskiego o zreferowanie sprawy Bytomia. Kol. Szymański bardzo szczegółowo przedstawił zebraniem charakterystykę Bytomia. Zo-

brazował stosunki tam panujące, warunki pracy, w rezultacie doszedł do przekonania, że Bytom w tej formie w jakiej jest obecnie — dla naszego Teatru się nie nadaje.

... Z kolei zabiera głos dyr. Dąbrowski, który scharakteryzował ideowe cele wyjazdu i społeczno-narodowe zadanie Teatru na Śląsku. Wyjaśnił zebraniem stanowisko władz polskich i radzieckich w sprawie wyjazdu Teatru oraz poglądy polskich sfer artystycznych na zachodzie. Wynikiem konferencji dyr. Dąbrowski z wiceministrem L. Kruczkowskim było przyznanie Katowic, jako siedziby Teatru Śląskiego.

Po przemówieniu dyr. Dąbrowskiego, którego zostało nagrodzone oklaskami, przewodniczący zebrania Kordowski Jerzy wyraził gorące podziękowanie dyr. Dąbrowskiemu za jego dotychczasowe starania o zespół Teatru. Następnie w imieniu całego Zespołu zapewnił o solidarności i dyscyplinie dalszej pracy nad rozwojem naszego Teatru.

W dyskusji, jaka wywiązała się po przemówieniach obu prelegentów, zabrali głos kolejno:

1) Fitio Eustachy: zwrócił się z zapytaniem jaki jest przewidziany termin wyjazdu i jakie będą warunki komunikacji.

2) Kuligowski Filip: ... czy artyści otrzymają urlop.

3) Urlych Jan: ... czy będą mogli także wyjechać członkowie rodzin.

4) Broński Bronisław: ... Czy teatr w Katowicach będzie państwowy czy miejski.

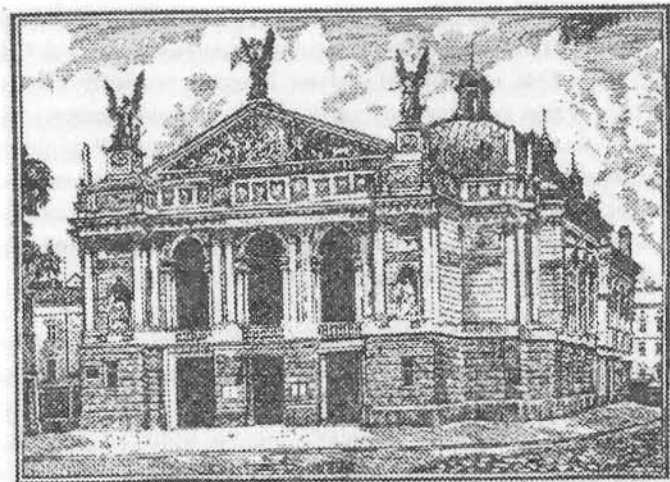
5) Dr. Jakliński Leon: ... Czy w razie likwidacji Teatru we Lwowie powstanie jakaś nowa placówka.

6) Baján Kazimierz: czy możliwe byłoby otrzymanie jakiejś zapomogi czy pożyczki na cel wyjazdu.

7) Broński Bronisław: czy rejestracją pracowników zajmie się kierownictwo Teatru.

Po udzieleniu dokładnych informacji i odpowiedzi przez dyr. Dąbrowskiego i Kol. Szymańskiego zapadła uchwała, że osoby nie mające zamiaru wyjechać, mają złożyć w Sekretariacie Teatru oświadczenie na piśmie najpóźniej do dnia 27 czerwca 1945 r. do godz. 12.

... Dyr. Dąbrowski: Uważam, że powierzone nam zadanie wypełniliśmy, że zrobiliśmy więcej niż można było oczekiwać, teraz decyzja wyjedziemy — czy zostaniemy, zależy od nas.



Z teki grafik „Zabytki architektury polskiej na Kresach Wschodnich” Marka Łabno i Lesława Hawlinga, rys. Siegiej Moskowczenko.

Reż. Bardini A. wyraża w imieniu całego zespołu podziękowanie za tak pomyślnie załatwienie sprawy.

Kol. Leliwa J. uważa, że relacja obu delegatów jest wyczerpująca i jest pełen podziwu dla ich działalności. Jednak nie zupełnie wyczerpujący jest koniec przemówienia dyr. Dąbrowskiego. Chciałbym usłyszeć kilka zdań, które by scharakteryzowały jakie jest nastawienie do tej sprawy tutejszych czynników rządowych.

Dyr. Dąbrowski wyjaśnia, że władze byłyby za tym abyśmy zostali, jednak nie wywierają żadnego nacisku.

Kol. Żmijewska zapytuje co ewent. będzie można przewieźć, bo jeżeli termin wyjazdu ma być jak najszybszy, to trzeba będzie wszystko likwidować.

Dyr. Dąbrowski wyjaśnia, że wolno zabrać ze sobą bagaż w wysokości 2 ton. Jeżeli chodzi o meble, to tylko w wyjątkowych wypadkach będą zabrane jako rekwizyt teatralny.

Żytecki E.: „Pamiętacie, jakie było moje stanowisko, jednakowoż z tego co usłyszałem po powrocie Dąbrowskiego, uważam, że nie ma się co wahać i zastanawiać, uważam, że placówka powinna się przenieść w całości, należy ustosunkować się pozytywnie i wyjechać.”

Następnie przystąpiono do głosowania, które odbyło się w ten sposób, że dyr. Dąbrowski zapytywał każdego uczestnika zebrania: czy jedzie — czy nie. Wszyscy jednogłośnie orzekli, że jadą.

Na tym zebranie zakończono.

Ja też zgłosiłam się do wyjazdu. Ale jeszcze wciąż nurtoowało mnie pytanie: wyjechać? — czy zostać!

„Wyjechać (jak pisze J. Janicki w swoim „Alfabcie lwowskim” „to znaczy wykupić bilet w nieznaną, zaopatrzyć się w odtąd trwałą wizytówkę „ludzi z za Buga” załadować własnymi rękami do trumny sześćset lat polskiej historii”. — Zostać: to być włączonym do zespołu teatru im. Gorkiego, a potem dostać „zaproszenie” do Kazachstanu czy Semipałatyńska.

Zbliżał się dzień wyjazdu. Zaczęło się pakowanie kostiumów, rekwizytów, ładowanie mebli i dekoracji. Patrzyłam na to wszystko ze łzami w oczach, bo wiedziałam, że już nic nie wróci tutaj, do tego mojego pierwszego ukochanego Polskiego Teatru i Lwowa!

25 sierpnia (dzień moich imienin!) 1945 roku.

Teatr opuszcza Lwów. Jesteśmy wszyscy zgromadzeni na Dworcu Czerniowieckim. W wagonach towarowych już cały majątek Teatru. Trudności są tylko z lokowaniem zespołu wraz z rodzinami w wagonach, ale i to przeszło spokojnie.

I wreszcie sygnał do odjazdu. Przepelnione wagony drgnęły. Rozległy się pożegnalne okrzyki, w rękach pozostających na miejscu kolegów pojawiły się białe chusteczki i załopotwały na wietrze!

Teatr Polski wyjeżdża!

Ale nie wyjeżdża na turnee, ani na występy gościnne — wyjeżdża na zawsze!

„A może uda się że powrócę znów

I zobaczę miast Lwów!”

PS.

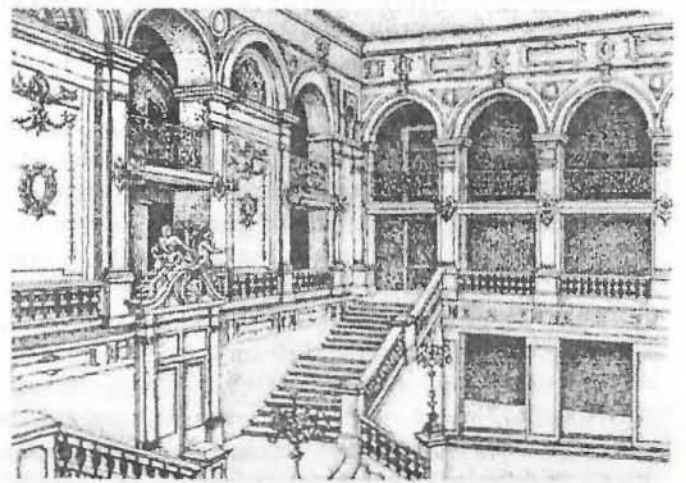
I na tym chciałam zakończyć ten — bardzo skrócony — opis działalności w ostatnim roku ostatniego zawodowego teatru polskiego we Lwowie. Ale przypadek zrzucił, że przeczytałam w „Przekroju” (z 29. października 1989 Nr 2314 str. 14) felieton („Kurier Warszawski”) Lucjana Kydryńskiego, w którym m.in. pisze:

„... Niektórzy kolaboranci występujący w strasznym czasie stalinowskiego terroru na scenach Wilna czy Lwowa swoją

późniejszą postawą — jak choćby Ordonówna właśnie — okupili nawet z nawiązką, ówczesną radosną działalność. Ale inni przyjechali wraz ze zwycięską armią, otrzymując za swe zasługi dyrekcje teatrów, szefując nawet komisjom weryfikującym ich kolegów, którzy mieli to nieszczęście, iż kolaborowali po przeciwnej stronie. Czy nie czuli się wówczas trochę — delikatnie mówiąc — niezręcznie? I czy nie czują się niezręcznie dzisiaj? Tym retorycznym pytaniem — bo przecież nikt z zainteresowanych na pewno na nie odpowie — żegnaj się z Państwem do następnego Kuriera”.

Nie przewidział tylko autor powyższego, że na łamach „Życia Literackiego” Nr 44 (1963) z 5 listopada 1989 str. 111! odpowie mu — podpisujący się inicjałami „M.A. Styks.”:

„... Byliśmy w Wilnie szczęśliwi i dumni z repertuaru polskich teatrów, realizowanego wspólnymi siłami: własnymi i kolegów uchodźców z Warszawy. Jeśli się wchodzi do branży, należałoby poczytać pisma branżowe: taki „Pamiętnik Teatralny” np. — tam jest wszystko. Nawet p. Nowak Jeziorański



Westybul Teatru Wielkiego. Rys. inż. arch. Zbigniew Haich.

dziwił się tym porównaniom rzeszy tak różnych. I ta końcówka katońska: „na pewno nikt z zainteresowanych nie odpowie”. Otóż z powodu podanego wyżej jestem zainteresowany: żeby Pan nie stracił głowy. I twarzy.”

Nie czuliśmy się ani wówczas, ani dzisiaj „trochę niezręcznie”, bo tylko ktoś, kto nie był z nami w tym tragicznym czasie we Lwowie, nigdy nie zrozumie, czym były dla ocalałych tam Polaków padające z tej małej sceny słowa Mickiewicza, Wyspiańskiego, Zapolskiej czy Żeromskiego. Byliśmy dumni, że możemy im je przekazać.

I znowu po latach, ten sam L. Kydryński w „Przekroju” (z 27 marca 1994 r. Nr 13/2544 str. 26 „Kurier Warszawski”) — tak wzruszająco opisuje: „... i dopiero ostatnio łąza mi się znów w oku zakręciła” — Jubileusz Prof. Aleksandra Bardiniego.

A przecież ten Wspaniały Człowiek, znakomity reżyser i pedagog, „nasz kochany Sasza” — jak Go we Lwowie nazywaliśmy — był w latach 1939/1941 i 1944/1945 członkiem zespołu Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego: reżyserem i kierownikiem Studia Dramatycznego przy tym Teatrze.

Więc jak: Szlachetny Człowiek, Wspaniały Polak — Patriotą (jakim zawsze był i jest) — czy ... kolaborant?

Z tym pytaniem zwracam się do pozostałych Lwowiaków, którym moje wspomnienia ofiaruję.

Ludwika Castori-Dąbrowska.

DWIE FOTOGRAFIE

(dokończenie z poprzedniego numeru)

Zdzisław J. Zieliński

Utworzone we Lwowie getto pęczniało od ludności spędzonej tam z miasta i prowincji. Coraz bardziej dawały się we znaki głód, brud, smród, a potem i chłód. Wszy, tyfus i inne choroby. Początkowo tramwaje, które przejeżdżały obok tych terenów oznaczone były tablicami: „Nur für Arier”, a z rzadka „Für Juden zugelassen”. Wtedy tak oznaczone przyczepki były niemilosiernie zatłoczone. Ostatecznie Żydzi mogli jeździć tramwajami tylko wtedy, kiedy ich wieziono do pracy. Np. na lotnisko, przez całe pagórkowate miasto. Wozie motorowym jechała straż i kobiety (jacy džentelmeni...!). W dwóch przyczepnych lorach, ubici jak śledzie, jechali na stojąco mężczyźni. Często 13, 14-letni. Można sobie wyobrazić taki powrót z długiej i ciężkiej pracy o pustym żołądku, na zakrętach i spadach lwowskiej linii tramwajowej! Kiedyś byłem świadkiem załadowania takiej grupy na końcówce, przy powrocie z dalekiego Skniłowa. Niesporo im to szło, mimo „starań” żydowskich policjantów. Jakiś batiar podbiegł do stojącego i „sztebechnął” jednego z nich kulakiem w plecy. Uderzony odwrócił się: to był Gerber, nasz „Gerber”, ten flegmatyk! Patrzył poważnym, smutnym wzrokiem, nawet bez specjalnych pretensji do tego głupiego gnojka. Pewnie nie takie już upokorzenia przeszedł w swojej codziennej gehennie (hebr.: „Ge Hinnonn” — miejsce przeklęte, piekło).

We mnie zawrzało. Temu batiarowi pewnie nie dalbym rady, a poza tym to mieszkanie... Na końcówce parę przekupek sprzedawało półoficjalnie jakieś okupacyjne „ciastka”, makagigi, pestki. Za drobne pieniądze (innych nie miałem...) kupiłem jakiegoś „balabucha” i dałem mu go. Obaj byliśmy trochę zażenowani, ale wątpię czy mnie poznał. Zresztą nie było na to czasu, bo już do nas zmierzał żydowski policjant z groźnie nastawioną pałą. W okrągłej czapce z Gwiazdą Dawida, w prochowcu przepasanym w pasie (niektórzy mieli nawet polskie pasy oficerskie) i w „anglikach”. Okupacyjna moda też miała swoje kanony... Oj — wysługiwali się oni swoim pracodawcom jak psy i tak też skończyli!

Dużą ilość mężczyzn zgromadzono w tzw. Obozie Janowskim, który wbrew swojej nazwie był nie tyle obozem pracy, co eksterminacji. Zdawali sobie sprawę z tego zgonieni tam Żydzi i stąd elementy wisielczego humoru, przemieszanego z dosadnym humorem lwowskim, w piosence, którą śpiewali idąc przez miasto. Była to kolejna, nowa lwowska piosenka okupacyjna — a może pieśń...? — śpiewana w balaku na melodię innej, arcylwowskiej: „Tam na rogu, na Janoskij...”. Obóz zresztą też był na Janowskiej. Już samo to miejsce wyznaczało punkt w płynnej granicy między społecznością i kulturą polską, a żydowską. A knajpa o której tu mowa należała do niejakiego Zimmermanna i nie był to bynajmniej Norweg...! Tekst pieśni, z akcentami górzkiego realizmu zachował się w pamięci i odpisach, a tutaj przytaczam fragmenty z zachowaniem lwowskiej ortografii tzw. „glupstw”. Inna rzecz, że wydane dotąd zbiory lwowskich piosenek kończą się na roku 1939. A gdzie całe bogactwo twórczości wojenno-okupacyjnej? Oto jeden z przykładów.

Albośmy to jacy-tacy
Z Januskiego Lagru Pracy,
A ży świat nas nie chce znać —
.....!

Tam nam daju fajny zupy:
Litra wody, cztery krupy,
Z takiej zupy nie chce stać —
.....!

A pulicja ubuzowa
Nie jest wcałi hunurowa:
Bo im czapka nie chce grać —
.....!

Akcja w sierpniu, akcja w lutym
Żony, dzieci marsz za druty;
Sercy chce si z bólu rwać —
.....!

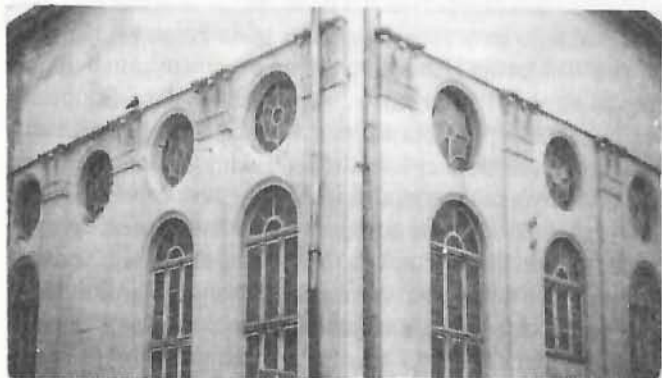
Wnet wyciongnu ci z kulumny
Ni dustanisz nawyt trumny
I na piaski pujdzisz spać —
.....!

To byli niewątpliwie nasi lwowscy, polscy Żydzi — mieliśmy tego pełną świadomość. W tak trudnych i dramatycznych chwilach, swoje doznania i uczucia wyrażali w lwowskiej, batiarskiej piosence, która w tych specyficznych warunkach urastała do miana pieśni, chorału. Mieliśmy także pewność tego, że jesteśmy tuż za nimi w kolejce i że ona się już zaczęła, tyle że w innych obozach. Łączył nas zatem wspólny los i podobna, choć rozłożona w czasie Gołgota (także wyraz pochodzenia hebrajskiego). A zatem, wyciągnąć pomocną dłoń — ale komu i jak? Jeżeli Polacy byli pod tym względem w najgorszej sytuacji „...wśród narodów świata”, to lwowiaczy mieli jeszcze dużo gorsze warunki. Wokół roilo się przecież od ukraińskich szpicli, którzy chcieliby się „wykazać”!

A jednak Polacy pomagali im jak mogli: i tym „swoim” i innym. Mimo, że nie wszyscy przecież mogli. Nie należy przecież zapominać, że tylko w Polsce za przechowywanie Żydów groziła śmierć. A mimo to dużo więcej niż połowa drzewek w gaju Yad Vashem zasadzona jest właśnie przez Polaków! Można też wyobrazić sobie rezultaty, gdyby hitlerowcy postawili inne warunki — i w Polsce, i w pozostałej Europie...! A mimo to młodym Żydom przedstawia się Polskę jako zagłębienie żydowskiej śmierci, a o zbudowanych obozach koncentracyjnych niektórzy na Zachodzie mówią po prostu — „polskie obozy”. Że szmalcownicy, że kapusie? — czarne owce znajdują się w każdej społeczności i stada polskich baranów nie biją tu wcale rekordów. Mamy za to najwięcej „Sprawiedliwych wśród narodów świata”!

Cóż z tego jednak — potem się okazuje, że jeden cwany niemiecki biznesmen ratuje więcej Żydów (z których zresztą żyje i to dobrze!) niż zagrożeni śmiercią Polacy. A ci ostatni (sic!) potrafią tylko rzucać w Synów Izraela grudy zmarzłego śniegu i wyzwiska...! Tak to przynajmniej podaje przekonujący język obsypanego nagrodami filmu, słynnego reżysera, Żyda, który popełnił zresztą inne filmy o podobnym ładunku fantazji...Z nas dwóch to ja przeżyłem okupację, ale z tym się nie spotkałem. Moi bliscy także nie. Natomiast dobrze pamiętam co innego. Oto taki obrazek. W górnej części ul. Zadwórzeńskiej, nad stawem zwanym „Zielina” (był tam kiedyś przedmiejski folwark niejakiego Zielińskiego) zastrzelono pod parkanem wieloosobową rodzinę żydowską, przechowywaną przez Polaka, którego właśnie za to powieszono. opatrując zwłoki stosowną tablicą. Tu tragedia tych ludzi splotła się z propagandą, jako że obie wyszły z jednego źródła. „Propaganda jest jednym z kunsztów, służących do rządzenia narodami” — stwierdził słowem i czynem minister propagandy Rzeszy Niemieckiej Dr Goebbels”. Powyższy cytat pochodzi z przedwojennej jeszcze broszury współpracownika gadzinowej „Gazety Lwowskiej”. Nie dodać — nie ująć! W tym wypadku „współpracownik” — to oczywiście „kolaborant”, a pikanterii dodaje fakt, że go zamieszcza i hołubi współczesna „Gazeta Lwowska” — może na podstawie fałszywej legendy, którą wokół siebie roztacza; dają się na to nabrać i inni... W związku z tym, niestety, dalej publikuje, podpisując się już pełnym nazwiskiem, podczas gdy w szmatławcu używał zwykle monogramu: „T.K.”.

Daleko prowadzą ślady okupacyjnych zbrodni. W gronie przyjaciół zastanawialiśmy się czasem nad tym, czy byłoby możliwe, aby Żyd w mundurze NKWD chciał ratować,



Synagoga Przedmiejska przy pl. Teodora (Fot. autor).

a przynajmniej pomóc Polakom wywożonym na Sybir — kobietom i dzieciom? A było takich sporo, podobnie jak później w mundurach polskich; znanych z prześladowań i procesów patriotów, również polskich. Pytanie oczywiście retoryczne, bo przecież wiemy jak było... Oj — mizerny byłby ten gaik, gdyby nawet powstał... Oczywiście, kiedy ocenia się po latach takie reakcje obu stron nie można zapominać o ewentualnym poczuciu krzywdy z jednej i kompleksie winy z drugiej strony. A nawet o chrześcijańskim miłosierdziu i talmudycznej zasadzie: oko za oko.

A oto drugi obrazek. Zadyмка i wicher taki „jakby się kto powiesił” w naszych Blokach krąży pogłoska o błakającym się, ukrywającym się Żydzie. Powoli zapada wczesny

zimowy mrok. Nagle otwiera się okno na 3. piętrze klatki schodowej pod „15”. Ukazuje się w nim lichy odziany, obcy człowiek. Przesadza parapet, chwilę się waha i zawisa na hakach, podtrzymujących kiedyś skrzynki z kwiatami. Nie ma już odwrotu, ale i brak mu ostatecznej decyzji. Jest tylko rozpacz; zagłuszająca wszystko rozpacz! Trwa to długo — dla niego i dla nas, obserwujących to ze zgrozą, zapierającą dech. W rzeczywistości tylko sekundy... Wreszcie następuje to, co nastąpić musiało: zmęczone ręce puszczaają i człowiek spada. Na drugim piętrze uderza krzyżem w podobnie wystający hak, wydaje przeraźliwy krzyk, po czym już glucho wali się na płytki chodnika. Krew spływa do rynsztoku marznącą strużką. Padający śnieg przydaje jej delikatnej struktury białoczerwonego pasma.

Można to także zakwalifikować do tragicznych spięć między Narodem Wybranym, a narodem „nadludzi”. Trwało to długo, za długo, po czym passa się odmieniła i wywiad izraelski począł sprawnie wylapywać zbrodniarzy wojennych, sprawców Holocaustu. Na razie śledztwo w tej sprawie prowadziła policja ukraińska. Chodziło o wykrycie powiązań, znalezienie winnych — nie jego śmierci oczywiście, ale udzielanej mu pomocy. Ktoś mu dawał schronienie, ktoś sprzedawał mu żywność za dolary i biżuterię. Ktoś go tu widywał wieczorami. Kiedy skończyły się pieniądze i kosztowności — skończyło się wszystko. Podejrzenia zacieśniały się wokół dawnych sklepikarzy i ich znajomych (już samo miejsce wypadku dawało wiele do myślenia). Ponoć obłowili się nieźle w czasie działań wojennych w 1941, wynosząc ze sklepu wraz z współnikami wszystko co cenniejsze. Pochodzili z łódzkich Niemców i podobno podpisali volkslistę. To zapewne wystarczyło, aby zaprzestać śledztwa. Ostatecznie policja ma ważniejsze sprawy, niż zagadkowa śmierć jakiegoś Żyda. Choćby zbrojne podziemie. Tak przynajmniej mówiła o tym wieść gminna, która w czasie okupacji była potęgą.

Aby przeżyć, Żydzi wysprzedawali wszystko, co tylko mogli — dopóki mogli. W kompleksie Placu Krakowskiego (Pl. Zbożowy, Solskich, Pl. Teodora zwany także Węglarskim, Pl. Łazienny, Pl. Misjonarski, Pl. Rzeźni), w zrujnowanych domach pożydowskich, wnętrza zawałone były pierzem. Handlarze kupowali za bezcen poduszki i pierzyny, pruli je, a poplamione wsypy sprzedawali zwykle na wieś z niemałym zyskiem. Zasadniczy błąd w „Tragarzu puchu” Jerzego Janickiego polega na nieznanomości okupacyjnych realiów i przekłamaniach: to nie brudne pierze i zleżały puch były cenne, ale mocne wsypy!

Na „Krakidałach” jeszcze niedawno spotkać można było kapitalne typy żydowskie, przeniesione tu jak gdyby z odległych epok, lub z dalekich stron. Patriarchalne brody, długie pejsy, atlasowe chalaty, jarmulki, a nawet lisiury, które tu przetrwały z doby odrodzenia. Ponad szwargot czarniawych handlarzy wybijał się często falset sprzedawcy, obnoszącego gorący bób, serwowany w papierowych „tutkach”: „Hajsse bebele! — hajsse bebele!”. Ożywiony handel trwał do późnych godzin wieczornych przy nastrojowych kagankach, rozświetlających stragany kryte i obudowane „celtą”, niby szopki. Tu można było kupić wszystko, sprzedać trochę mniej, ze względu na konkurencję. Ten świat odeszedł nagle, bez ewolucyjnych przemian, bowiem nagle odeszła zaludniająca go społeczność.

Zimy okupacyjne były wyjątkowo ciężkie. Brak odzieży

i opalu dawał się we znaki wszystkim, a co dopiero Żydom... że już nie wspomnę o żywności! Jedyłą satysfakcją stanowiła sytuacja na froncie wschodnim, ale to było jeszcze daleko... Lata były z kolei bardzo upalne, kontynentalne. Patrzyliśmy ze zgrozą i współczuciem na pędzone (jeszcze do pracy...) kolumny Żydów, slaniających się ze zmęczenia i pragnienia. Jakoś nie słyszało się docinków, ani złośliwych uwag. Można sobie tylko wyobrazić, co się działo wtedy w przeludnionym i brudnym getcie...!

W lecie jeździło się na jeden z dwóch basenów, które nam Niemcy laskawie zostawili — na Zamarstynów lub na Śiteż. Było tam dość brudno, ale rozrywka, a czasem konieczność, względnie tania. Zamarstynów miał jeszcze i to do siebie, że zanim się doszło do tramwaju, człowiek był znowu zakurzony i spocony. Jechało się w upale zatłoczonym tramwajem, wzdłuż wysokiego parkanu, oddzielającego getto. Względnie łatwo było znieść tok i woń spoconych, niedomytych ciał — kiedy po kilkunastu minutach wychodziło się na świeże powietrze, a potem do orzeźwiającej wody, pod zimny tusz! Za parkanem żyli jeszcze ludzie skazani, z wyrokiem wcześniejszym od naszego...!

Zauważył ten parkan i te układy także Jerzy Janicki, tzw. „piewca polskiego Lwowa” — chciałoby się jednak powiedzieć: „pieprzca”, jako że on wszystko musi pochrzanić. W „temacie kąpielisk” pokręcił Żelazną Wodę z Zimną Wodą, a tę z kolei z Zimną Wódką (i to nie przez szczególne zainteresowanie knajpami...!), podczas gdy rzecz dotyczyła właśnie basenu na Zamarstynowie.

Nadeszło ostatnie dla nich, gorące lato 1943. Getto likwidowano. Z Wysokiego Zamku można było oglądać gęste dymy nad tą dzielnicą i słyszeć równie gęstą strzelaninę. Tam trwała walka, walka o życie — powstanie. Tyle atramentu i lez wylano w związku z powstaniem w getcie warszawskim, a o lwowskim nic. Zdaje sobie oczywiście sprawę z właściwych proporcji — wiadomo, stolica! — ale żeby nic...?!

Zdeterminowani Żydzi, stojący przed pewnym już widmem zagłady zaczęli ponoc od rozmontowanych nożyc krawieckich. Tą drogą zdobyli broń palną i tak się zaczęło to, co właśnie oglądaliśmy w podnieceniu i ze ściśniętym gardłem. Nie wszyscy może jednakowo współczuli ginącym Żydom, ale wszyscy musieli sobie zdawać sprawę z tego, że tak może wyglądać też „ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej”. W obozach ginęli jedni i drudzy i nie najważniejsze są tu proporcje ilościowe. Aktualnie Niemcy wraz z Ukraińcami rozwiązywali kwestię żydowską. Za rok miało wybuchnąć Powstanie Warszawskie. W takim samym upale, przeciw tym samym wrogom, którzy je pacyfikowali tymi samymi bestialskimi metodami. Następne lato 1944 wraz z upalem przyniosło już wyzwolenie — lub, jak chcą niektórzy, ustanie działań wojennych. Z tym, że aby ustać, musiały się one najpierw do miasta przybliżyć i przez nie przejść. Na zrujnowanych ulicach, wśród gruzu, drutów i wraków czolgów pojawili się pierwsi Żydzi, którzy wyszli z dotychczasowych ukryć, którzy przetrwali dzięki Polakom. Błdzi, jeszcze zaleźnieni, uczyli się chodzić jak po długotrwałej chorobie. Po chorobie, która w większości wypadków kończyła się śmiercią. Niektórzy nie dowierzali własnemu „szczęściu”, a cały ten koszmarny skłonni byli uważać za zły sen. Opowiadał mi potem jeden z nich, że ludzie często się zatrzymywali na jego widok, zagadywali i pytali: po ile są dzisiaj dolary...?!

Grupa Żydów ukrywała się po likwidacji getta w rozbudowanych lwowskich kanałach, w pobliżu głównego nurtu Peltwi. Polacy zaopatrywali ich w żywność. Było to oczywiście ryzykowne, ale w sumie nie było tak źle, stała prawie temperatura i żadnych kłopotów z ...toaletą. Najważniejsze, że hitlerowcy się tego nie spodziewali. A do zapachów, jak w starym żydowskim kawale — koza się musi przyzwyczaić! Kiedy ich wreszcie wyprowadzono na wolność, dzieci podniosły straszny krzyk. Porażone hałasem i ostrym światłem słonecznym, chciały tylko jednego — wracać do kanału! Jak to jednak różnie bywa z wyborem tego, co dla kogo najlepsze — spotykamy się z tym nie tylko w warunkach nieszczęść i klęsk.

Po wojnie, ocaleni Żydzi ze Lwowa i Kresów wyjechali wraz z nami do oficjalnej Polski. Częściowo zapewne dlatego, że czuli się polskimi Żydami — wyrosli wśród nas, uratowali się dzięki nam — mówili i myśleli po polsku. Ważna też była możliwość wyjazdu z Polski dalej, na Zachód, niekoniecznie do Izraela.

Znowu chodziłem z nimi do szkoły — nie byli najgorsi, a niektórzy nawet lepsi. Taka np. Irka Bratter, z rodziny lwowskich lekarzy. Zakochana w kulturze i literaturze polskiej, szczególnie w Nałkowskiej. Miała za sobą ciekawe próby literackie. Jednak wyjechali oni już starszawi i ona z tą swoją propolskością. Podobno targnęła się na życie. Nie znam przyczyn — mogę się tylko domyślać... Ale nie spotkałem już nikogo ze starej fotografii. Robiło się nowe zdjęcia. Irka też jest na nich, ale czy jest...?

Podczas gdy jedni planowali wyjazd, inni marzyli o powrocie do Polski, do Lwowa. Udało się to nawet jednemu z nich — Henrykowi Vigelfangerowi, lepiej może znanemu jako Antoni Tytyłyta, czyli „Tońku”. Był w swoim Lwowie, a ostatni raz do kraju przyjechał po to, aby w nim umrzeć... Nie doczekał tego inny superlwowiak i takiż Polak — lwowski Tuwim — Marian Hemar. Poświęcił swemu miastu najpiękniejsze strofy. Tuż przed wojną opuścił Polskę Stanisław Marcin Ulam, przedstawiciel lwowskiego rodu, genialny matematyk (ze słynnej Lwowskiej Szkoły Matematycznej), właściwy twórca amerykańskiej bomby wodorowej. Nie tylko Polskę, ale i Lwów reprezentuje w swym niemalym, a wielce oryginalnym dorobku literackim Stanisław Lem — wystarczy go posłuchać! A nawet Aleksander Bardini, który we Lwowie spędził całą wojnę, może być uważany za naturalizowanego syna tego miasta. Jest takich więcej. Ta daj nam Boże wiency takich Hebesów!

Kiedy człowiek lazi po Lwowie, obwieszony aparatami fotograficznymi, często naraża się na zaczepki różnych takich. Rozmaicie z tym bywa. Ale raz zagadnął mnie facet dlatego, że i on robi to samo. Dzięki niemu trafiłem do uroczej klatki secesyjnej przy pl. Smolki, fotografowałem podwórko z pięknie rzeźbionymi konsolami (Skarbkowska) i jedną z najpiękniejszych z ocalałych lwowskich Madonn, przy ul. Murarskiej. To jego ukochana Madonna! A kim jest pan T.? — to Żyd rosyjski, który się już zleopolizował, nie wiedząc zapewne o tym, że od tego już tylko krok do polonizacji, co było przecież powszechne wśród cudzoziemców zamieszkujących to miasto. Czyli mielibyśmy jeszcze jednego Żyda rozkochanego w zabytkach i pięknie polskiego Lwowa. Takich nie sieją. Wypada więc tylko powtórzyć: ta daj nam Boże takich wiency...!

Taka to nasza telewizja...

Tadeusz Dobrzański

Telewizja Polska bardzo często, m.in. w ramach programów edukacyjnych emituje filmy i reportaże dotyczące II wojny światowej, ze szczególnym uwzględnieniem kampanii wrześniowej 1939 roku. Do tego rodzaju audycji zaliczyć należy przedstawiony w 1994 roku i powtórzony w roku bieżącym 13 i 14 grudnia w programie TV POLONIA dokument filmowy pt. „NA ODSIECZ LWOWA”, opracowany przez dr. Zbigniewa WAWERA, dr. Tadeusza KRAWCZYKA i zmarłego niedawno doc. Artura LEINWANDA przy znacznej pomocy WARSZAWSKIEGO OKRĘGU WOJSKOWEGO.

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem stosowania cenzury w ogóle. Ale w przypadku wydawania takich dokumentów o znaczeniu historycznym winna być stosowana zdecydowana ingerencja wojskowych historyków, pracowników Centralnego Archiwum Wojskowego i innych znawców przedmiotu w zakresie działań wojennych z lat 1939–1945.

Wspomniany film—reportaż poszedł na przestrzeni dwóch ostatnich lat „w eter” i kto wie ile razy jeszcze będą go oglądać telewizorzy — zwłaszcza ci z „pojaltańskich” roczników i w efekcie pozostanie w ich pamięci zakodowanych szereg faktów niezgodnych z historyczną prawdą.

W poruszonym dokumencie, co stwierdzam z ubolewaniem, brak „komunikacji audio-wizualnej”, czyli inaczej mówiąc, ma miejsce brak spójności między obrazem i dźwiękiem. Relacja słowna często nie pokrywa się z pokazywanymi na ekranie kadrami filmowymi, czy zwykłymi zdjęciami.

Fakt, że we wrześniu 1939 roku oprócz samolotów i czołgów brakowało w ugrupowaniach walczących jednostek polskich profesjonalnych operatorów, uzbrojonych w kamery filmowe. Większość zdjęć z tego pola walki mamy dzięki amatorom fotografom—żołnierzom, którzy na wojnę zabrali aparaty fotograficzne. Filmy natomiast z tych wydarzeń, były raczej efektem działania sprawozdawców wojennych wojsk niemieckich czy sowieckich. Pomijam przypadki pracy polskich filmowców w oblężonej — walczącej Warszawie. Ale to wszystko nie pozwala, by w szeregu tego rodzaju polskich reportaży z „września” wykorzystywać te same zdjęcia czy urywki filmowe a dotyczące raz działań bojowych 10 BKZmot ówczesnego pułkownika Maczka, innym razem bitwy nad Bzurą, czy też kolejno, odsieczy Lwowa, lub też po raz któryś z rzędu te same ujęcia pokazywać jako działania naszych wojsk w wojnie z bolszewikami w... 1920 roku, czy nawet jako urywki z manewrów wojskowych z okresu II RP!

W krytykowanym przeze mnie reportażu z odsieczy Lwowa takich „fauli” jest bez liku.

I tak, gdy autorzy mówią o przybyciu gen. Sosnkowskiego do Dowództwa Korpusu Okręgu nr VI we Lwowie (który mieścił się przy placu Bernardyńskim), na ekranie telewizora pokazano budynek... Szkoły Korpusu Kadetów im. J. Piłsudskiego.

No cóż? I tu Korpus i tu Korpus !!

Następnie, omawiając walki dywizji dowodzonych przez gen. Sosnkowskiego w drodze do Lwowa, pokazano obraz W. KOSSAKA „Kawaleria”, przedstawiający szarżę 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, na co wskazują żółte otoki na czapkach garnizonowych ułanów (podczas, gdy kawaleria na wojnie no-

siła helmy bojowe wz. 15 typu francuskiego). A w ogóle 14 pułk we wrześniu 1939 roku w składzie Podolskiej Brygady Kawalerii walczył w szeregach Armii Poznań! Stąd nie mógł walczyć we Lwowie, choć wchodził w skład lwowskiego garnizonu, ani też nie szedł z odsieczą dla tego miasta.

Budynek Szkoły Korpusu Kadetów jeszcze raz pożyczono w formie fotografii, omawiając walki w rejonie szkoły Henryka Sienkiewicza w pobliżu ulicy 29 Listopada. Jakby w źródłowym wydawnictwie „SEMPER FIDELIS—OBRONA LWOWA W OBRAZACH WSPÓŁCZESNYCH” (Lwów — Nakład Towarzystwa „Straż Mogił Polskich Bohaterów—1930 r.” tabl. 15) skąd zaczerpnięto fotografię budynku Szkoły Kadetów nie było zdjęcia szkoły H. Sienkiewicza.



Następnie, przy omawianiu działań 10 BKZmot. w ramach odsieczy Lwowa, pokazano jednostkę na... koniach, gdy tymczasem była ona tylko z nazwy kawalerią.

Dalej, wspominając wysiłek tej Brygady w drodze do Lwowa, pokonującej, jak podano, wyschnięte w tym czasie (?) rzeki, pokazano na ekranie... rosyjskie czołgi lekkie, forsujące dosyć szeroką przeszkodę wodną. Na filmie można zauważyć sowieckie helmofony tankistów, gdy „maczkowcy” nosili helmy czołgowe broni pancerniej, których wzór można zobaczyć na rys. 4 str. 139 i rys. 5 str. 166 książki „Wojsko Polskie 1939–1945. Barwa i broń” wyd. II popr. i uzup. Wyd. Interpress, W-wa 1990.

Szczytem niedbalstwa (mówiąc ogólnie) było włączenie na samym początku reportażu urywku filmu przedstawiającego maszerującą piechotę polską—ponoć na odsiecz Lwowa w 1939 roku. Tylko nie jest to wojsko wrześniowe, gdyż żołnierze ci uzbrojeni są w „pepesze” (pist. masz. PPSz wz. 41) a na karabinach mają nasadzone rosyjskie bagnety typu kb lub kbk Mosina — tak popularne rosyjskie „sztyki” czy „brzeszczoty”. Kilku piechurów niesie rusznice ppanc., też sowieckiej produkcji a w kolumnie jest ciągnięta 45 mm armata ppanc. wz. 1937 rosyjskiej produkcji. W tle tej kolumny przejeżdżają samochody typu Gaz jako czołówki warsztatowe czy autobusy sztabowe. Wniosek, że do tego reportażu pożyczono sobie jakieś ujęcie filmowe dotyczące być może 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki lub innej jednostki LWP z lat 1943–45 !

Miałbym też parę zastrzeżeń do pokazanych w tym filmie fragmentów niektórych typów uzbrojenia ciężkiego (np. lufa haubico-artymy 152 mm wz. 1937 ML-20), ale ponieważ były to tylko, jak wyżej wspomniałem, fragmentaryczne ujęcia — pozostawię to bez dalszego komentarza.

Czy można więc taki reportaż o odsiecz Lwowa uważać za dokument o walorach historycznych? Jak długo jeszcze będziemy zabawiać telewidzów takimi niespójnymi z faktami historycznymi zlepiankami? Co skłania twórców takich reportaży do przedstawiania naszej historii w taki sposób?

Opisane powyżej przykłady nierzetelnego opracowania tego

rodzaju dokumentu obliguje chyba do tego, by takie prace w przyszłości podlegały wnikliwej ocenie i badaniom, zanim wejdą na ekrany telewizorów i kin.

Tu powinni być zaangażowani wojskowi historycy i pracownicy Centralnego Archiwum Wojskowego, dopóki żyją jeszcze nieliczni już świadkowie „tamtych dni”.

Nie orientuję się na czym polegała pomoc Warszawskiego Okręgu Wojskowego w realizacji reportażu pt. „Na odsiecz Lwowa”. W każdym razie na pochwałę, w moim odczuciu nie zasłużył!

plk w st. spocz. Bogusław Tadeusz Dobrzański

W ubiegłym roku odwiedził naszą redakcję p. Tomasz Zabiega, absolwent Uniwersytetu Southern Illinois w Carbondale (SIUC). Obecnie rozpoczął studia medyczne na tym samym Uniwersytecie. Ten młody człowiek interesuje się również historią Polski, w tym przede wszystkim historią Lwowa i Kresów II Rzeczypospolitej.

Pragniemy zapoznać naszych Czytelników z poglądami młodego pokolenia Polaków na emigracji, które mogą być przykładem dla naszej młodzieży zapatrzonej w miraż liberalizmu zachodniego.

Młodzi na emigracji

Tomasz M. Zabiega

Skąd zainteresowania kresowe i lwowskie u studenta SIUC?

— To losy rodziny związane ze Lwowem i Bieszczadami.

Moje zainteresowania Kresami i Lwowem wynikają nie tylko z pochodzenia kresowego moich rodziców, ale przede wszystkim uzasadnione są strategicznym znaczeniem Kresów dla Polski. Nie ma obecnie sprawy ważniejszej i wymagającej pilniejszej uwagi polskiego rządu i społeczeństwa niż sprawa Kresów i Polaków zamieszkujących tamtejsze tereny (jak również Kazachstan, Łotwę, Rosję, itp.). Może gdybym żył przed wojną, uwagę swoją skupiłbym w owych czasach na sprawach Śląska, Mazur, Warmii i Pomorza, przedwojenne losy i znaczenie których można porównać do dzisiejszych Kresów Wschodnich. Zapomina się również często o tym, że w znacznym stopniu dzięki tym Kresom i Kresowianom nasz naród przetrwał z wolną duszą i samodzielnym myśleniem oraz, że polska kultura i nauka, a więc jedna z najważniejszych części kultury i nauki światowej powstawała w dużej mierze na wschód od Bugu.

Czy ktokolwiek może sobie wyobrazić dzieje naszego narodu bez takich postaci jak król Jan III Sobieski, Tadeusz Kościuszko, Hugo Kollątaj, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Aleksander Fredro, Henryk Sienkiewicz, Maria Konopnicka, Ignacy Łukasiewicz, Józef Conrad, Aleksander Brückner, Ignacy Jan Paderewski, Józef Piłsudski, Władysław Anders, Stanisław Maczek — że wymienię tylko część tych najbardziej znanych — czy takich instytucji jak: Ossolineum, Uniwersytet Jana Kazimierza, Uniwersytet Wileński, Politechnika Lwowska czy Liceum Krzemienieckie?

A więc Kresy jako obiekt mojego zainteresowania i pasji wynika po prostu z chęci utrwalenia i upamiętnienia tego, co było najwartościowsze w dziejach naszego narodu, a zarazem mające niewątpliwie znaczenie dla przyszłości Polski.

Owszem, jednak bardzo znaczący wpływ na moje obecne zainteresowania miało pochodzenie kresowe mojej rodziny i wychowanie w miłości do Polski, które miałem szczęście uzyskać od moich rodziców. Mój ojciec, Andrzej Zabiega jest z wykształcenia lekarzem-neurologiem. Urodził się w 1938 roku we Lwowie. W 1960 roku ukończył Akademię Medyczną we

Wrocławiu. Uzyskał potem specjalizację pierwszego i drugiego stopnia oraz stopień doktora nauk medycznych z neurologii, pracując po kierunku wybitnego wrocławsko-lwowskiego neurologa, wieloletniego kierownika Katedry i Kliniki Chorób Nerwowych AM we Wrocławiu, obrońcy Lwowa, Profesora Rudolfa Arenda. Za swoją pracę doktorską pt. „Czucie dotyku, zimna, ciepła i bólu w niektórych chorobach układu nerwowego” uzyskał ojciec nagrodę Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej za rok 1970. Moja matka, Helena Baran-Zabiega urodziła się w



Autor artykułu

1939 roku w Tarnawie Dolnej koło Leska w Bieszczadach (przed wojną województwo lwowskie). Jest z zawodu pielęgniarką specjalizującą się w neurologii. Przez wiele lat pracowała w Klinice Chorób Nerwowych AM we Wrocławiu. Ojciec pochodzi z rodziny lekarskiej. Jego matka, rodowita lwowianka, Janina Artymowska-Zabiega (1895-1985) ochotniczo brała udział w obronie Lwowa od 20 grudnia 1918 roku do końca czerwca

1919 roku (gdy Lwów był obleżony przez wojska ukraińskie). Służyła jako kurierka w Miejskiej Straży Obywatelskiej (MSO) pod dowództwem majora Wita Sulimirskiego, niezastąpionego organizatora oddziałów kobiecych, kurierskich i wywiadowczych podczas ścisłej obrony Lwowa (listopad 1918 r.) w części miasta okupowanego przez Ukraińców. Za swoją ochotniczą służbę w MSO babka moja została odznaczona orderem „Orląt” (oficjalnie: „Obróńcom Kresów wschodnich 1918-1919” i odznaką „Zasłużony dla MSO” oraz listem kandydacyjnym od generała Wacława Iwaszkiewicza. W 1925 roku ukończyła studia medyczne na UJK we Lwowie i wyszła za mąż za współabsolwenta wydziału medycznego — Tadeusza Zabiegę (1897-1975), urodzonego w Sądowej Wiszni. Od 1927 roku dziadkowie mieszkali w Dolinie koło Stryja, gdzie dziadek został lekarzem powiatowym. W 1943 roku z powodu nieudanych nacisków na babkę, ażeby podpisała volkslistę — jej babka, zresztą Polka, pochodząca ze Śląska Cieszyńskiego

— i obaw przed napadami ukraińskich nacjonalistów, rodzina Zabiegów przeniosła się do Wesolowa koło Brzeska, a w 1945 roku Zbiegowie przenieśli się do Koźła w obecnym woj. opolskim. Dziadek, specjalista od zwalczania epidemii przyjechał jako pierwszy polski lekarz na Ziemię Kozielską i zwalczał groźne epidemie tyfusu, czerwonki i szkarlatyny na Opolszczyźnie w pierwszych latach po wojnie. Jest on upamiętniony wraz z czterema innymi lekarzami-pionierami i Kozielskiej Służby Zdrowia — na tablicy pamiątkowej w szpitalu w Kędzierzynie Koźlu. Babka pracowała jako lakarka-pediatra i przyjmowała pacjentów aż do 1981 roku, przechodząc na pełną emeryturę w wieku 86 lat. Rodzice matki, Stanisław Baran (1910-1990) i Katarzyna Beluch-Baran (1908-1990), byli chłopo-robotnikami z Tarnawy Dolnej w Bieszczadach. Dziadek był z natury dyskutantem politycznym tzn. w czasie okupacji i po wojnie spotykali się u niego okoliczni polscy chłopcy na dyskusje polityczne. Było to ryzykowne działanie <197. zwłaszcza, gdy w Bieszczadach rządziły bandy UPA — bo rozmowy miały ton mocno krytyczny względem Niemców, Ukraińców i Rosjan. Pewnego razu dziadek wracał do domu wieczorem i został aresztowany przez upowców, którzy natychmiast zdecydowali się powiesić go. Na szczęście znalazł się poczciwy Ukraińiec, który stanął w dziadka obronie krzycząc: „Zwariowaliście, chcecie jedynego bednarza w wiosce wieszać. Przecież on dla ukraińskich rodzin też becзки wytwarza”. I banderowcy Dziadka puścili. Później służył on jako kolejarz w pociągu pancernym, którego wysyłano tam, gdzie UPA popełniał różne akcje sabotażu. Właściwie to dziadek i babka z matki strony, pierwotnie zaszczytali we mnie i w mojej siostrze miłość do Polski i Kresów. Może dlatego, że łatwiej jest nieraz dzieciom słuchać dziadków, chociaż to rodzice od początku kulturowali w nas przywiązanie uczuciowe do Polski. Dziadek wzbudzał moje zainteresowanie historią Polski opowiadając o Sikorskim, Hitlerze, I i II wojnie światowej, przestępstwach hitlerowców, UPA,

NKWD i UB. Do dziś zadziwia mnie umysł tego zwykłego chłopca, po dwuletniej ledwie szkole, który potrafił logicznie analizować wydarzenia polityczne i historyczne nieraz lepiej niż niejeden profesor. Babka zaś nauczyła nas wiele tradycji polskich i ogólny szacunek do dzielnego i patriotycznego polskiego chłopca np. niejednego komunistę z domu siekierą wygoniła za namawianie do kolektywizacji czy wstępowania do organizacji komunistycznych.



Rodzina Zabiegów

Dzieje rodziny na emigracji

Obecny mój pobyt w Stanach to trzeci z kolei, a czwarty ojca. Ojciec wyjechał pierwszy raz do Stanów w 1962 roku jako stypendysta Fundacji Ventnor i doskonalił w amerykańskich szpitalach (m.in. w słynnej Mayo Clinic, uznawanym do dziś jako najlepszy ośrodek medyczny i szpital w Stanach) swoje umiejętności lekarskie. Powrócił do Polski w 1964 roku. Wkrótce po powrocie spotkał i poślubił moją matkę, a w 1970 roku urodziła się moja siostra, Małgorzata. W 1972 roku rodzice wyje-

chali z Małgosią do USA, gdzie przyszedłem na świat w 1973 roku. Może miłość do Lwowa była mi przeznaczona, ponieważ — nomen omen — urodziłem się w miejscowości Coldwater (po polsku Zimna Woda) w stanie Michigan — a najbardziej znana Zimna Woda znajduje się przecież obok Lwowa. W 1974 roku rodzina moja znów powróciła do Polski, a w 1979 ponownie wyjechaliśmy do Stanów — wracając po raz drugi do Polski w 1985 roku. Powrót w 1985 roku miał przełomowe dla mnie znaczenie. Chociaż rodzice zawsze w domu mówili z nami wyłącznie po polsku, a matka nauczyła mnie pisać i czytać w ojczystym języku, nie mogłem pochwalić się wtedy płynnością wymowy, czy dobrze opanowaną gramatyką i ortografią języka polskiego. W ciągu pół roku nadrobiliśmy jednak z siostrą zaległości w szkole. Po ukończeniu szkoły podstawowej nr 84 przy ulicy Górnickiego we Wrocławiu, zdałem do XIV Liceum Ogólnokształcącego, gdzie uczęszczała już moja siostra (która zdała tam maturę w 1989 roku). W 1989 roku wygrałem eliminacje Wojewódzkiej Olimpiady Języka Angielskiego i zakwalifikowałem się wraz z siostrą do finału tejże Olimpiady (byłem najmłodszym z finalistów). Mój nauczyciel historii w XIV LO, pan Galas namawiał mnie do wzięcia udziału w Olimpiadzie Historycznej, po tym jak zdałem egzamin komisyjny na ocenę celującą. Niestety, latem 1989 roku znów wyjechaliśmy do Stanów. Mój ojciec został zatrudniony jako psychiatra i neurolog w Murray Development Center (Szpital stanowy dla umysłowo niedorozwiniętych dzieci) w Centralii, w południowej części stanu Illinois. Po ukończeniu szkoły średniej w Centralii w 1991 roku, gdzie uzyskałem nagrody jako najlepszy uczeń z języka angielskiego, historii oraz nauk społecznych, rozpocząłem studia w Katedrze Fizjologii na Uniwersytecie Southern Illinois w Carbondale (SIUC). Jest to stanowy (publiczny) uniwersytet, na który uczęszcza około 26 000 studentów.

Ukończyłem tam studia w 1995 roku ze stopniem bachelera (bachelors) magnacum laude (z wysokim wyróżnieniem) — mając średnią ocen 3,75 na maksimum 4,0.

Do sukcesów na tych studiach muszę zaliczyć następujące nagrody: w 1992 roku zostałem uznany najlepszym studentem I roku na SIUC, a w 1993 roku najlepszym studentem II roku. W 1995 roku zostałem uznany przez Zrzeszenie Absolwentów SIUC, za jednego z 25 najwybitniejszych studentów tegoż uniwersytetu na rok akademicki 1994/95. Ukończyłem także tzw. University Honora Program. Jest to specjalny program, który wspierał mnie finansowo poprzez stypendium. Ażeby ten program ukończyć (co czyni każdego roku od 20 do 30 studentów SIUC), musiałem zaliczyć kursy z różnych dziedzin oraz napisać pracę porównywalną z pracą magisterską z przedmiotu, którym student się szczególnie interesuje, niekoniecznie z dziedziny, którą dany student studiuje. Już od pierwszego roku studiów byłem zdecydowany napisać pracę z historii Polski. Już w szkole średniej napisałem pracę na temat genezy napaści niemieckiej na Polskę w 1939 roku oraz na temat decydującej roli Polski w upadku komunizmu w Europie środkowej w latach 1989-90. Mając na uwadze to, że fascynowała mnie zawsze historia Kresów i stosunków polsko-ukraińskich (szczególnie XX wieku) na temat obrony Lwowa (m.in. egzemplarz „Pobudki” pozostawiony przez babkę) i że temat ten jest w ogóle nieznanym przez amerykańskich historyków — nawet zainteresowanych historią Polski, zdecydowałem się złożyć pracę na temat wojny polsko-ukraińskiej 1918-1919. Niestety, wkrótce temat ten okazał się zbyt obszerny, więc napisałem pracę o ścisłej, listopadowej obronie Lwowa pt. „Battle for the City of Lions: The Lwów Episode of the Polish-Ukrainian War November 1-22, 1918” („Bitwa o miasto Lwów: lwowski epizod wojny polsko-ukraińskiej 1-22 listopada 1918”). Właściwie ostatni semestr spędziłem prawie tylko i wyłącznie na pisanie tej pracy. Jest ona moją pierwszą poważną pracą historyczną i szczególnie nacisk położyłem w niej na obiektywnym przedstawieniu faktów według dokładnie przebadanych źródeł historycznych m.in. dokumentów i wspomnień uczestników obrony Lwowa. Opisałem również w mojej pracy krótką historię Lwowa i Galicji (Małopolski) wschodniej oraz stosunki polsko-ukraińskie od drugiej połowy XIX w. do czasów obecnych. — w celu zapoznania obcego czytelnika z genezą obrony Lwowa i całokształtem polsko-ukraińskiego współistnienia w Małopolsce Wschodniej. Oczywiście praca moja jest bardzo pro-polska, ale wynika to raczej z podsumowania wydarzeń według udowodnionych faktów i prawdy historycznej, gdyż stroniłem od szerokiej polemiki czy nadmiernego propagowania własnych, subiektywnych nieraz poglądów. Za namową pana Stanisława J. Kowalskiego, wspaniałego Sybiraka i oficera Pierwszej Dywizji Pancerniej generała Maczka, złożyłem moją pracę do Ossolineum we Wrocławiu i Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie — co było dla mnie ogromną przyjemnością, a zarazem zaszczytem. wracając do moich studiów, chciałbym omówić trochę moją działalność społeczną. Podczas studiów działałem m.in. jako Prezes Stowarzyszenia Międzynarodowego Biznesu i Towarzystwa Biologicznego Beta Beta Beta oraz jako wiceprezes Zrzeszenia Europejskich Studentów. Byłem także członkiem Rady Międzynarodowych Studentów, samorządu reprezentującego interesy 2500 studentów międzynarodowych na SIUC oraz współzałożycielem i członkiem Zarządu Zrzeszenia Zawodów Przedmedycznych (zrzeszające studentów planujących po studiach lekarskich starać się na studia medyczne). w

lutym br. w ramach corocznego Festiwalu Międzynarodowego na SIUC zorganizowałem z siostrą i przy współudziale rodziców wystawę o Polsce wykorzystując m.in. materiały hojnie nadesłane przez Polskie Narodowe Biuro Furystyczne w Chicago (polskie państwowe biuro propagujące turystykę do Polski z USA). Zorganizowałem również wystawę o Polsce i wykład o Polsce w miejscowym liceum, a siostra z matką zorganizowały podobną wystawę w innym liceum w polskiej miejscowości. Po zakończeniu studiów, zostałem przyjęty na Wydział Medyczny SIUC, na który z ponad 4000 kandydatów przyjęto 72. Teraz czekają mnie czteroletnie studia medyczne. Moja siostra Małgorzata, po uzyskaniu w 1993 r. z biologii, pracowała jako asystentka w Katedrze Zoologii (specjalizując się z paracytologii), uzyskując magisterium w roku 1994. Została wybrana najlepszą asystentką swojej katedry, a w tym roku rozpoczęła studia doktoranckie w Katedrze Biologii Komórkowej (specjalizacja: paracytologia molekularna) Uniwersytetu Georgia w Athena. Katedra ta prowadzi ciągłą współpracę z Centrum (Center for Resease Control) w pobliskiej Atlancie, obok Instytutu Pasteura w Paryżu główny ośrodek badania chorób na świecie.

Skąd miłość do Lwowa?

Oprócz lwowskiego pochodzenia mojego ojca jest wiele innych powodów dla których kocham Lwów. Jest to w jakiejś części miłość do przedwojennego patriotyzmu, czystego i bezinteresownego, który był współtworzony przez lwowian i kresowian. Jestem miłośnikiem lwowskich piosenek, Szczepcia i Tońcia, balaku, a takiego lwowskiego humoru ni ma na całym świecie. Osiągnięcia naukowe Lwowa są przeogromne. Niestety często niedocenione, zarówno przez Polaków jak i obcokrajowców, porównywalny jedynie z kilkoma miastami świata. Wkład Lwowa w dzieje i rozwój naszego państwa i narodu można by było opisać w licznych tomach. Dlaczego kocham Lwów? Bo kocham Polskę.

Znaczenie Lwowa dla Polski trafnie scharakteryzował Padewski podczas pierwszego swojego orędzia jako premier do Zgromadzenia Narodowego (nie pamiętam dosłownie cytatu): „Jeśli Warszawa jest sercem Polski, to Lwów i Kraków są jak jej dwa płuca, dostarczające życiodajny tlen dla serca i ciała”. Człowiek może żyć z jednym płucem, ale pozostaje bardzo osłabiony. A siła narodu polskiego polegała i nadal polega w nie małej części na silnej woli i pracowitości lwowian. Lwów jest potrzebny Polsce tak jak Poznań, Kraków, Wrocław czy Warszawa. Organizowanie naszego państwa jest i będzie ciężko funkcjonować bez swojego płuca.

Pierwsze kontakty z organizacjami kresowymi

Moje kontakty z organizacją działającą na rzecz spraw polskich rozpoczęły się w 1983 roku, kiedy moi rodzice założyli Towarzystwo Słowiańsko-Amerykańskie w Kalifornii. Właściwie była to organizacja polonijna, ale ponieważ kilku z jej członków byli Rosjanami (emigrantów jeszcze z czasów carskich), zdecydowano nazwać tę organizację słowiańską. Moja właściwa działalność rozpoczęła się 1 maja 1989 roku. wziąłem wtedy udział w antypochodzie pierwszomajowym zorganizowanym przez solidarność Walczącą i PPS-RD (Rewolucja Demokratyczna). Protestowano przy Okrągłym Stole i nie w pełni demokratycznym wyborcom do Sejmu. Już wtedy zdecydowałem się rozpocząć działalność polityczną i społeczną na rzecz Polski i Kresów, ale moje możliwości po wyjeździe do Stanów

były ograniczone. w 1991 roku zapisałem siebie, moich rodziców i siostrę do Koła Lwowian w Chicago. Wkrótce zaprzyjaźnili się rodzice z wieloletnim prezesem Koła Lwowian w Chicago, panem Rudolfem Veitem. Pan Prezes Veit jest najbardziej zaangażowanym Polakiem na rzecz Lwowa i Kresów Południowo-wschodnich USA. Podczas mojego pobytu w Polsce latem 1994 roku zapisałem się do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich - Oddział Wrocławski. Zakupiłem wtedy wszystkie egzemplarze „Semper Fidelis” od 1993 roku. Od tego czasu rodzina moja prenumeruje „Semper Fidelis” i właściwie kolekcjonuję to czasopismo. Kilka artykułów „Semper Fidelis” były w szczególności pomocne jako źródła dla mojej pracy. Gdy przyjechałem do Polski w maju br., nie spodziewałem się, że pobyt mój będzie aż tak owocny. Po kupieniu egzemplarza czasopisma „Na Rubieży” zdecydowałem się zapoznać ze Stowarzyszeniem Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów. Prezes tegoż Stowarzyszenia, pan magister Szczepan, zaprosił mnie na drugą

część Światowego Zjazdu Polskich Organizacji Kresowych, który odbył się we Wrocławiu 3-go i 4-go lipca. Stanowiło to dla mnie wielki zaszczyt. Bardzo wzruszył mnie patriotyzm i poświęcenie wybitnych działaczy kresowych obecnych na sali Zjazdu. Miałem niesamowite szczęście porozmawiać z wieloma wybitnymi osobistościami: prezesami organizacji i fundacji kresowych, wybitnymi profesorami, historykami, literatami, a także z bardzo patriotycznie nastawionym rodakiem. Drugiego dnia obrad miałem nawet możliwość przedstawienia swoich propozycji m.in. na temat Polskiego Stronnictwa Kresowego. Oprócz członkostwa w Kole Lwowian i Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, od br. jestem członkiem Polskiego Stronnictwa Kresowego i Klubu wzajemnej Pomocy Fundacji Słowiańskiej (mającym na celu udzielenia pomocy Polakom powracającym z Kazachstanu i innych miejsc zesłania w byłym ZSRR). Jestem również członkiem Towarzystwa Polskiej Historii Wojakowski w Ameryce.

J. Dereń de Cornelian
Londyn

Sonety Podola

Są chwile — Myślę,
Może Ty wrócisz do nas,
Jesteś sama u obcych,
Kat łez Twoich nie widzi.

A taka jesteś piękna,
O Tobie śpiewa wicher
I echo Podola.

Zimą jesteś biała w śniegu,
Kochasz też śnieżne zaspę.
Wiosną jesteś piękna w kwiatach i zieleni,
Składam Ci bukiet wierzby pełny bazi.

Latem jesteś nadzwyczajnie hojna,
Słodka, miodem pachnąca
Pełna troski o chleb,
Oddajesz to, z całą pasją
Rozmłówanej kochanki.

Jesienią, masz romantyczne noce księżycowe,
A potem, kaprysisz, mży deszcz.
Noce ciemne listopadowe,
I nic więcej — zaduszki,
A dzień staje się coraz krótszy.

I znów radość, śnieg prószy,
Boże Narodzenie...
Pozwól mi przyjść jak za lat młodzięcych,
W drodze uśiąść na białym kamieniu i dumać,
Aż wjeździe pierwsza gwiazda.

Wśród książek i czasopism

W związku z artykułem zamieszczonym w nr (26) 1995 „Semper Fidelis” pt. „O potrzebie bieżącej bibliografii, pragnę zrobić dobry początek, przesyłam Państwu 1 egzemplarz książki pt. „Takie Małe Miasto”, którego jestem autorem i wydawcą. Równocześnie załączam recenzję. Książkę wydałem w nakładzie 1000 egzemplarzy.

Obecnie przygotowuję III część książki TMM pod tytułem: „Jak to po wojence ładnie”, a także zapowiedziany w książeczce pt. „Re—wizja” tomik pt. „Ładne kwiatki”.

Leszek Szulca

Żydowski Instytut Historyczny
Instytut Naukowo—Badawczy
dr Rafał Zebrowski

Książka Leszka Szulca pt. „Takie małe miasto”

Po długim okresie spychania przez władze komunistyczne w niepamięć losów Polaków w latach 1939—1945 na Wschodzie przeżywamy spóźniony rozkwit literatury pamiętnikarskiej dotyczącej tego zagadnienia. Świadczenia owe mają co prawda mniejszą wartość źródłową z punktu widzenia heurystyki, gdyż najczęściej są spisywane po latach lub przynajmniej współcześnie redagowane. Jednak jeśli autoświadomość Polaków i zamieszkujących nasz kraj mniejszości narodowych nie ma być kaleką, to w obrazie dziejów i przeszłości nie może zabraknąć Kresów, gdzie w najszerszym zakresie realizowało się współistnienie i sąsiedztwo różnych religii, kultur i ludów Rzeczypospolitej Wielu Narodów.

Nieprzypadkowo akcentuję ten aspekt sprawy, bowiem właśnie w tej sferze otwiera się przed nami szczególnego rodzaju luka. Zrozumiałe jest, że wśród pozycji pamiętnikarskich obecnie wydawanych, a dotyczących dziejów Kresów wschodnich, przeważa literatura martyrologiczno-hagiograficzna. Z natury rzeczy dążenie do udokumentowania bezmiaru cierpień mieszkańców tamtych ziem Rzeczypospolitej musiała ją zdominować w pierwszych okresie po odzyskaniu niepodległości w 1989 r. Nie zamierzam tu deprecjonować tego nurtu, ale dla przyszłości, a nawet dla obrazu przeszłości, ważniejsze jest ukazanie życia w warunkach kresowych, zwłaszcza w małych ośrodkach o lokalnym znaczeniu. W książce p. Leszka Szulca te dwa elementy odnajdujemy. Ukazuje ona bezmiar nieszczęść spadających na ludność kresową, równocześnie jednak wprowadzając doń szereg ważkich, a najczęściej nie postrzeganych, elementów.

Autor nie skupia się na cierpieniach własnych i swych najbliższych, co tak bardzo obciąża większość literatury „martyrologicznej”. Powiedziałbym więcej: ukazuje rodzinę, która — a wiem to choćby z doświadczeń i obserwacji własnej rodziny — stosunkowo dobrze sobie radzi w czasach „potopu” nieszczęść. Jej członkowie pod mądrym kierownictwem rodziców autora zachowują mobilność, nie dają się zamknąć w cierpiętnictwie ani w kręgu najbliższych znajomych, czy krewnych. Ich kontakty ze światem zewnętrznym są liczne i bardzo interesujące. Pośrednio wpływa to także — nawet jeśli część ocen razi czasem swą ostrością — iż obraz życia kresowego nie jest tak jednostronny, lecz mieni się wieloma barwami i odcieniami. Perspektywa widzenia wydarzeń nie ogranicza się również do widzenia własnych nieszczęść. To stwierdzenie, co warto podkreślić, dotyczy również wyjście poza krąg własnej grupy narodowościowej. Także w tym aspekcie obraz wydarzeń jest bogatszy niż zazwyczaj prezentowany, bowiem np. przedstawienie Holocaustu ludności żydowskiej nie ogranicza się do wyłącznie rejestracji masowego mordy, lecz zawiera wiele elementów wzbogacających, wychodzących poza utarte stereotypy, a zarazem przywraca proporcje tragedii dramatu społeczności lokalnej na Kresach, w której znalazło się nawet miejsce na dostrzeżenie indywidualnych postaw ludzi znajdujących się po drugiej stronie „barykady” (komunistów, Niemców). Z tego zaś wynika ogólne, głębsze przesłanie humanistyczne kresowego dramatu.

Warto także podkreślić, że autor wybrał interesującą formę prezentacji przeżyć swej rodziny. Nie jest to zapis pamiętnikarski sensu stricto, lecz rodzaj zbeletryzowanej opowieści. Nie zawiera ona szerszych opisów, ani monologów wewnętrznych głównych postaci. Została natomiast ujęta w sceny i dialogi, z których wyłania się obraz zdarzeń. W tej sferze autor wykazuje się niemałym talentem dramaturgiczno—narracyjnym, co bardzo podnosi walory jego opowieści. To ostatnie określenie zostało przeze mnie użyte nieprzypadkowo, gdyż p. Szulca nazwał swą książkę „opowieścią”. Moim zdaniem nie oddaje to w pełni tego czym w istocie jest jego przekaz. Osobiście określiłbym go jako „zbeletryzowaną opowieścią opartą na wątkach autobiograficznych”.

Reasumując garść bardzo ogólnych uwag chciałbym podkreślić, że książka ta zasługuje na publikację. Równocześnie pragnę wysunąć kilka sugestii, które mogą być pomocne w dalszej pracy nad nią. Sądzę bowiem, że może się ona stać ważką pozycją, więc staralibyśmy się nakłonić autora do dalszego jej dopracowania.

Planem minimum byłoby w tym względzie bardzo solidne opracowanie książki pod względem redakcyjnym. Usterki tego rodzaju są może nie tyle liczne, co w kontekście interesującego przekazu — bardziej rażące. Sugerowałbym skierowanie książki do dobrego redaktora, mającego doświadczenie w redakcji tekstów literackich. Jego zadaniem byłoby wygładzenie stylistyczne utworu, które wszakże winno być dokonane tak, by nie naruszyć swobodnego toku narracji.

Warto też uzupełnić książkę o parę elementów, które bardzo by ją wzbogaciły. Przede wszystkim mam tu na myśli opis samego Stryja i jego najbliższych okolic. Autor uczynił to rozpoczynając swą opowieść. Jednak nie poświęcił temu problemowi ani dostatecznie wiele uwagi, ani miejsca. Tymczasem rozbudowanie tego elementu stworzyłoby dobry punkt wyjścia do całej narracji, jak również ułatwiłoby lekturę czytelnikowi. Zwrócę uwagę tylko na kilka elementów, by wskazać na czym zasadza się problem. Przede wszystkim w tekście pojawiają się nazwy miejscowe — dajmy na to pewnych dzielnic (części) Stryja. Czytelnik powinien zostać wyposażony w wiadomości ich dotyczące. Chodzi tu tak o elementy ściśle geograficzno—topograficzne, jak i o zespół treści z nimi związanych o charakterze społecznym, narodowościowym, kulturowym. Po przeczytaniu tej części książki czytelnik — na tyle na ile to będzie możliwe — winien swobodnie poruszać się po Stryju i jego okolicach. Winien wiedzieć: jaki charakter miały poszczególne miejsca i ich typowi mieszkańcy; jakie były ich relacje z otoczeniem; jakie były lokalne główne wydarzenia poszczególnych wspólnot itp. Nie jest to może najlepszy przykład, ale przychodzi mi na myśl Atlantyda Andrzeja Chciuka i sposób w jaki pokazuje on przedwojenny Drohobycz. Z tym odniesieniem wiąże się także problem ukazywania świata, którego już nie ma, poprzez materiał anegdotyczny. Chciuk czyni to miejscami w sposób niemal genialny. Wprowadzenie na szerszą skalę tego typu elementów wyszłoby omawianej książce na dobre. Natomiast samo rozbudowanie wprowadzenia ukazującego miasto, jego okolice i w pewnym sensie *genius loci*, uważam za wręcz konieczne. To samo dotyczy niektórych postaci — zwłaszcza spoza kręgu osób będących głównymi bohaterami narracji, bowiem często są one „nieokreślone” tak co do funkcji i znaczenia, jak i charakterystyki.

Zasadniczą sprawą jest też kwestia języka. Autor wybrał — chyba nie najszcześliwiej — wariant, w którym wszystkie postaci mówią językiem zbliżonym do współczesnej polszczyzny li-

terackiej. Tymczasem opisuje wydarzenia w tzw. Wielkim Księstwie Bałaku (określenie wspomnianego Chciuka). Jest to tym ważniejsze, że sporadycznie w wypowiedziach bohaterów pojawiają się jednak wyrażenia zaczerpnięte z gwary powszechnie używanej na Kresach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej. Co więcej, używanie specyficznego języka może być pośrednim źródłem charakterystyki poszczególnych postaci. W każdym razie jest to sprawa o zasadniczym znaczeniu i winna ona znaleźć stosowne miejsce tak w opisie obszaru, na którym się akcja toczy, jak i być przemyślana w stosunku do dialogów zajmujących znaczną część narracji. Trzeba ją — podkreślam — generalnie przemyśleć i tak ustawić, by nie budziła wątpliwości. Istnieje też szansa, by także z niej uczynić ważkie dla książki tworzywo i środek ekspresji.

Ostatnim — choć bynajmniej nie pod względem ważności — zaleceniem redakcyjnym jest przejrzenie książki pod względem jej precyzji historycznej. W niektórych miejscach pojawiają się bowiem wątpliwości. Oto kilka przykładów:

1. s. 73 cz. 1 — mowa o dworcu Wschodnim we Lwowie. Istnienia takowego nie wzmiankują plany Lwowa z okresu przedwojennego — być może chodzi o stację Lwów—Podzamcze lub Lwów—Łyczaków;

2. s. 51 cz. 1 — we wrześniu 1939 r. mowa jest o rozłamie na banderowców i melnykowców, gdy ten na rewolucjonistów (Bandera) i solidarystów (Melnyk) dokonał się w OUN w 1940; tamże uzasadnienie ucieczki policjantów przed Sowietami wydaje się być projekcją tego, co stało się z policjantami internowanymi przez Sowietów, a więc wydarzeń, które dopiero miały nastąpić — trafniejsze byłoby chyba odwołanie się do doświadczeń z okresu I wojny i rewolucji jednego z nich;

3. pisanie o dzielnicach aryjskich w odniesieniu do okresu międzywojennego jest anachronizmem;

4. budzą niepokój liczne wzmianki o rozmowach o przyszłej wojnie sowiecko-niemieckiej jesienią 1939 r., gdy sprawa chyba nie była tak oczywista;

5. już druga fala deportacji sowieckich objęła znaczną część ludności żydowskiej, co jakby umyka uwadze autora; deportacje dotknęły też Ukraińców;

6. wyjaśnienia wymaga np. fakt, że trupy w masowych egzekucjach były przesypane mąką i cukrem (s. 5 cz. 2);

7. konsekwentnie stosowane określenie bożnica nie jest prawidłowe — chodzi o bóżnice.

Uwagi te proszę potraktować jako sygnały niebezpieczeństw, nad którymi należy się zastanowić dokonując ostatecznej redakcji. Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na fragmenty, w których bohaterowie dokonują generalnych ocen i snują „futurologiczne” rozważania, gdyż często odnosi się wrażenie, iż te są pisane z pozycji przyszłych doświadczeń historycznych, tymczasem winny być one oparte na wiedzy posiadanej wówczas. Jeśli zaś je wygłaszający dochodzi do takich właśnie wniosków, to należałoby pokazać jakie przesłanki brali pod uwagę.

Podobną ostrożność należy wykazać w ocenach wartościujących. Czasami autor zbyt upraszcza problemy przed nim stojące. Czy np. — zwłaszcza przed wojną — można było na Kresach sądzić, że nacjonalizm ukraiński jest sprawą wyłącznie sterowaną przez Niemców? We wstępnej części książki autor stara się bagatelizować konflikty narodowościowe, równocześnie cała akcja toczy się w cieniu owych konfliktów i zawiera wiele ciekawych szczegółów ich dotyczących. Czasem brak też odniesień do tej sfery rzeczywistości: pożyczka zaproponowana przez Żydów ojcu autora; obraz dzielnicy żydowskiej spustoszonej po przejściu mieszkańców do getta — czyżby nie było rabunków dokonywanych przez sąsiadów nie—Żydów (cz. 2 s. 10) itd. itp.

Jeszcze raz pragnę podkreślić, że książka oceniana wydaje mi się bardzo ciekawym świadectwem losów kresowego miasta. Toteż warto podjąć trud jej dopracowania, czemu mam nadzieję służyć będą powyższe uwagi. Bardzo bym do tego zachęcał.

Czy tylko malownicza ruina utopii?

W odpowiedzi prof. Jackowi Kolbuszewskiemu — autorowi książki „Kresy”

Remigiusz Węgrzynowicz

Trudno dyskutować o historii z historykiem, tym bardziej, jeżeli czyni to nie-historyk. Trudniej jednak zachować milczenie czytając wywiad z prof. J. Kolbuszewskim pt. „Malownicza ruina utopii”. Żałuję, że nie czytałem „Kresów” autorstwa p. profesora, ale czytając wywiad, straciłem ochotę na poszukiwanie tego bestsellera. Dziwnie dzisiaj brzmią słowa powtarzane jak echo przez ostatnie półwiecze: „Kresy były przez okres dwudziestolecia międzywojennego przedmiotem instrumentalnie prowadzonej polityki edukacyjnej, propagandowej i integracyjnej” „polska administracja chciała Kresy na siłę spolonizować” „błędy musiały się zemścić — wchodzą do rachunku krzywd” itd.

Na ile różniła się nasza działalność na Kresach, którą p. profesor potępia, od działalności naszych sąsiadów na wschodzie, południu i zachodzie? Działalność, której dzisiaj nikt nie potępia, i nie czynią tego narody w stosunku do siebie i nie każą bić się w piersi. Za co więc mają się zemścić na nas? Przykro, że tak trwale ślady w umysłach pozostawiła panująca do niedawna doktryna, która na szczęście uległa degradacji, bo była nieludzka.

Mówi p. profesor: historia Kresów po przesiedleniu Polaków... to już historia trwania mitu... realnie Kresów od

dawna już nie ma... dla mnie Kresy skończyły się 17 września 1939... dziś ... już tylko malowniczą ruiną nieudanej utopii”! Czy można tak brutalnie określić wielowiekowy wysiłek naszego narodu? Szkoda, że tylko tyle pozostało panu profesorowi w pamięci. Czytając to w grobie, „wielki nauczyciel i konstruktor historii” tej ziemi zatarłby ręce z radości, że jego nauka przetrwała również w umysłach Polaków. Gdyby pojęcie narodu zamknąć w granicach aktualnych, jak usiłowano to uczynić przez lata, wkład wielu narodów w rozwój świata, tworzony nie zawsze w aktualnych granicach państwa, zostałby zniszczony.

Pielęgnowanie dorobku kultury kresowej, tworzonej również w znacznej mierze przez naród polski, to nie „ruina utopii”, to nie tylko glos sentymentu, ale przede wszystkim zachowanie korzeni, z których wyrosliśmy i mogliśmy z nich tworzyć egzystencję narodu po drugiej wojnie światowej, również na Kresach Zachodnich.

Pisze p. profesor: „najsilniejszą miarą zakorzenienia są groby... we Wrocławiu już 150 tysięcy... za pośrednictwem tych grobów wzięliśmy tę ziemię na własność... i jest to nieodwracalne w relacjach Niemcy — Śląsk, Polska — Kresy”. Czy nie zauważył p. profesor, że to samo powtarzali nasi przodkowie,

tworząc cmentarze, które we fragmentach zachowały się, mówili oni: „Ojczyzna to ziemia i groby”. Historia kreśliła granice inaczej. „Granice są bliźniami historii” — tak brzmi pierwsze zdanie Europejskiej Karty Regionów Granicznych i Transgranicznych, przyjętej przez Kongres Europejskich Regionów Granicznych. Dążność do zacierania granic w ramach integracji, przy zachowaniu tożsamości narodowej i dorobku wszystkich narodów, tam, gdzie były one tworzone — to idea wspólnej Europy.

Historia to podstawowy element, kształtujący świadomość koegzystencji narodów, szczególnie istotny w tym rejonie Europy, gdzie zmiany granic po drugiej wojnie światowej są znaczne, gdzie historia naszego pokolenia niewłaściwie interpretowana przez lata, może utrudniać integrację narodową i międzynarodową. Aby historia naszego narodu służyła koegzystencji, przypomnijmy za Suchodolskim: „gdy myślimy Polska, staje nam przed oczami ten świat materialny i duchowy zarazem, w którym od wieków żyli Polacy, kształtując go sobie w sposób właściwy”. Wynika z tego, że świadomość narodowa jest najistotniejszym elementem istnienia Ojczyzny. Bez świadomości nie ma narodu. Dzięki świadomości naród nasz nie zginął w niewoli. Aby świadomość była pełna, konieczne są retrospekcje. Zacieranie bowiem historii, (czego byliśmy świadkami przez lata) jest objawem patologicznym, źle służy integracji narodów.

Koegzystencja w granicach, w jakich znalazły się narody po kataklizmie drugiej wojny światowej, jest warunkiem prze-

trwania świata, którego zasoby i przestrzeń życiowa, wobec wzrastającej populacji, są coraz bardziej ograniczane. Idea współistnienia, jako wyraz świadomości społecznej, zaczyna przeważać nad doktrynami dominacji nacjonalistycznej. Miejmy nadzieję, że obecne przemiany demokratyczne zmierzają do zachowania równowagi w psychoefierze społecznej, a pierwszym zdrowym objawem jest dążność do ocalenia naszej przeszłości.

Dynamiczne przemiany społeczne i polityczne w Europie Środkowej w latach 90. spowodowały, że dzisiaj możemy bez zahamowań snuć retrospekcje nie tylko ostatniego półwiecza i naszej obecności na Kresach Zachodnich, ale sięgać głębiej w przeszłość narodu, również do Kresów Wschodnich sprzed drugiej wojny światowej, gdzie tkwią korzenie współkonstruktorów życia społecznego, gospodarczego i politycznego obecnej Rzeczypospolitej.

O przeszłości mówiliśmy przez wiele lat, historię dostosowując do ideologii. Z tych przyczyn historia wywołuje u wielu, szczególnie u młodych, znaczną powściągliwość, zrozumiałą nieufność. Obowiązkiem pokolenia najstarszego jest zachowanie historii opartej o fakty, jakie pozostały w naszej pamięci, bez komentarza i retuszu historyka.

Proszę wybaczyć, że mam odmienny pogląd na Kresy, ale jestem przekonany, że nie jest on wyłącznie moim. Skromne ramy wypowiedzi nie pozwalają na rozwinięcie tego zagadnienia.

Jeszcze o „Kresach”

Z. Ojrzyński, D. Nespiak

Z dużym zaskoczeniem środowiska kresowe w Polsce przyjęły wywiad prof. dr hab. J. Kolbuszewskiego pt. „Małownicza ruina utopii”, autorem książki „Kresy” opublikowanym w „Polityce” (nr 48 z 2 XII br.). Książka stała się bestsellerem. Autor otrzymał za nią nagrodę CLIO przyznaną mu przez Porozumienie Wydawców Książki Historycznej. Oparta przede wszystkim na tworzywie historycznej literatury kresowej obejmującej okres od W. Pola do II RP włącznie. Bogato ilustrowana, ale z nieczytelnymi mapami, wzbudziła też liczne kontrowersje. Np. stwierdzenie, że zwolennicy przyłączenia Białorusi i Ukrainy do Związku Radzieckiego (a tekst dotyczy Kresów II RP) napadali na przedstawicieli polskich władz, mordowali nauczycieli i policjantów, organizowali regularną antypolską partyzantkę mając silne poparcie z ZSRR. W tym czasie, o którym mówi tekst Autora, tak Białoruś jak i Ukraina wchodziły w skład Związku Radzieckiego, a więc nie mogło być „zwolenników przyłączenia” tych ziem do kraju Rad.

Z tekstu wynika, że Autor ma na myśli terytorium II RP, które określa nazwami „Białorusią i Ukrainą” — a to już nieładnie! Wystarczyłoby spojrzeć na przedwojenną mapę, gdzie w granicach II RP (ustanowionej pokojem ryskim w 1921 r. było polskie Polesie, polski Wołyń i Małopolska Wschodnia.

W latach dwudziestych nasza wschodnia granica była stale „w ogniu” — naruszana przez sowieckie bandy, które mordowały Polaków i paliły miejscowości. Po to też został stworzony Korpus Ochrony Pogranicza (KOP).

Jeżeli chodzi o wywiad na temat Kresów kategorię

stwierdzenie J. Kolbuszewskiego, że przestały one natychmiast i kompletnie istnieć od dnia 17 IX 39 mija się z historyczną prawdą. Na obszarze Kresów w czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej, istniało polskie państwo podziemne, Delegatura Rządu RP będącego na emigracji, AK, istniała cała sieć tajnego polskiego szkolnictwa, Szare Szeregi, Harcerstwo Polskie itd. Jest sprzeczne z prawdą i to, że już w roku 1946 we Wrocławiu ludność pochodząca ze Lwowa stanowiła bardzo nieznaczny procent. Profesor jako 7-letni chłopak przyjechał z ojcem prof. dr. hab. S. Kolbuszewskim z Łotwy kiedy zręby polskiej nauki we Wrocławiu budowała lwowska kadra profesorów, docentów i asystentów, a lwowscy kolejarze i tramwajarze przywracali do życia komunikację. Właśnie w 1946 roku największa fala przesiedleńców ze Lwowa osiedlała się we Wrocławiu. Byliśmy tego świadkami, przyjechaliśmy wtedy z rodzicami. Można powiedzieć, że to było apogeum tej fali. Są to fakty powszechnie znane. Natomiast wypada profesorowi zwyczajnemu Uniwersytetu Wrocławskiego, historykowi literatury polskiej i literatur zachodniosłowiańskich stwierdzić w tym wywiadzie, że w okresie PRL mówiło się o Kresach językiem „ezopowym”. Dalej profesor podaje, że nawet we wspomnieniach lwowskich Jana Parandowskiego ani razu nie padła nazwa Lwów!!! Podyktowane to zostało albo świadomym zatajeniem prawdy albo prof. J. Kolbuszewski nie zna tych wspomnień. „Wspomnienia i sylwety” Jan Parandowskiego wydało właśnie w okresie PRL, bo w roku 1960 wrocławskie Ossolineum i każdy może przeczytać w nich następujące treści (s. 6):

„Urodziłem się, wychowałem, całą młodość spędziłem we Lwowie, mieście rodzinnym Leopolda Staffa”, s. 25 „...tak przesuwają się po stronicach Lwów niby znak wodny na kartach papieru.”, s. 31 „... a w końcu miasto Lwów przyczyniło się dość znaczną sumą do wyposażenia Harendy”, a następnie strony 48, 63, 67, 78, 91 itd. itd. A gdzie inna literatura, w której nazwa Lwów też pada, mimo że był to okres PRL (St. Lem, A. Zakrzewski, Z. Ottawa-Rogalski, M. Opalek, W. Szolginia). Że nie wspomnimy tutaj o „Bric a brac 1848–1939” H. Ostrowskiej Grabskiej czy „Ochrzczony na szablach powstańczych. Wspomnienia (1884–1918)” B. Longchaps de Berier itd.

Autor pisze, że „Kresy były przez okres dwudziestolecia międzywojennego przedmiotem instrumentalnie prowadzonej polityki edukacyjnej, propagandowej i integracyjnej”. Jeśli Autor uważa to za zarzut — to w takim razie, czy trzeba było zostawić Kresy na pastwę losu — nie dbać o edukację kresowian, nie integrować z resztą kraju, nie reklamować uroków

krajobrazowych. „Polska administracja chciała Kresy na siłę spolonizować, popełniając ewidentne błędy, które musiały się zemścić”. Nie ulega wątpliwości — błędy były, ale czy jest jakieś państwo na świecie, które nie chciałoby mieć obywateli tej samej narodowości ?

Nawet cenzura PRL-owska nie zdołała wykreślić Lwowa. Dlaczego zatem teraz w „oficjalnej II RP” chce nam to udowodnić prof. J. Kolbuszewski. Broń Boże nie bronimy cenzury PRL-owskiej, zwracamy tylko uwagę, że Lwów i Kresy w pamięci narodowej nawet ona nie zdołała uśmiercić.

Od redakcji:

Nasze czasopismo umieszcza na swych łamach artykuły prezentujące wręcz przeciwstawne poglądy. Przykładem tego są powyższe dwa artykuły o „Kresach” prof. J. Kolbuszewskiego oraz recenzja tejże książki autorstwa pana L.S., zamieszczona w SF nr 28.

Z życia Towarzystwa i zaprzyjaźnionych organizacji

Tablica Obrońców Lwowa

W Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach 3 maja 1994 r. o godz. 10.30 odbyła się Msza Św. pontyfikalna za Ojczyznę, celebrowana przez arcybiskupa Damiana Zimonia z udziałem wojska, harcerzy i pocztów sztandarowych.

Po nabożeństwie nastąpiło poświęcenie tablicy pamiątkowej, ufundowanej przez nasz Oddział, poświęconej pamięci Obrońców Lwowa w latach 1918, 1920, 1939.

Tablica jest dziełem artysty rzeźbiarza Zygmunta Brachmańskiego, fundatorami — TML i KPW oraz Zarząd Miasta Katowice.

Lesław Hawling

(Fot. Jan Ciupek)



Poświęcenie pamiątkowej tablicy ku czci Sybiraków w Obornikach Śl. 11 listopada 1995 r.

Ks. Stanisław Turkowski

Ponad pół wieku musieli czekać Polacy zamęczeni na Wschodzie wywożeni na Sybir i do innych regionów Związku Radzieckiego, by mogli w sposób oficjalny, publicznie uczcić pamięć tych setek tysięcy Rodaków poległych i pomordowanych na „niehumanitarnej ziemi” i odebrać od potomnych należny im hołd pamięci i czci serdecznej.

W okresie PRL-u, tego systemu zbrodni i kłamstwa, do którego tęsknią dziś niektórzy — nie wolno było ani mówić ani pisać o tamtych wydarzeniach, które tak tragicznie wpisały się w nasze dzieje ojczyste i naszą pamięć. Wspomnienia Sybiraków pisane ongiś „do szuflady”, dziś mogą być publikowane drukiem i są cennym źródłem historycznym, z którego czerpać będą pokolenia. Gdy się je czyta, są wstrząsające dla tych co przeżyli koszmar drugiej wojny światowej, ale są niezrozumiałe dla młodego pokolenia wyrosłego pod wpływem zaprogramowanego fałszerstwa historii. Jest to bolesny dramat społeczny nowego pokolenia Polaków, które tak beztrąsko



i krótkowzrocznie wybiera ów bestialski system władzy, wiążąc z nim jakieś nieokreślone i złudne nadzieje. Tylko słowa Chrystusa Pana wypowiedziane na krzyżu: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią” /Łk 23,34/ mogą mieć tutaj jakieś zastosowanie.

Duża część społeczeństwa zdemoralizowana i oglupiona przez środki przekazu nie zdaje sobie sprawy jakie muszą być konsekwencje tej „niewiedzy” o Sybirze, Workucie, Kazachstanie, sowieckich łagrach i gułagach, opisanych szczegółowo i dramatycznie przez wielu autorów, a przeżyte bolesnym do-

świadczaniem tysięcy naszych Rodaków. Ta perspektywa wciąż przed nami stoi, jak ten złowieszczy wagon—pomnik niedawno odsłonięty w Warszawie... Jest to perspektywa całkiem realna!

Poświęcając tę tablicę ufundowaną przez byłych więźniów Sybiru i Koło Sybiraków w Obornikach Śląskich, chcemy uczcić pamięć tych, którzy stoją w szeregu setek tysięcy bojowników o niepodległość i suwerenność Ojczyzny, a którym tak wiele zawdzięczamy, gdyż oddali na jej ołtarzu to co najcenniejsze: życie i zdrowie! Cierpieli bowiem i ginęli za Polskę prawdziwie wolną i niepodległą.

Pragniemy też ukazać współczesnym Polakom do czego prowadzi akceptacja zła, bezbożnictwo, nienawiść, niezgoda, brak jedności społecznej, zafalszowana historia i brak prawdy w wypowiedziach polityków.

Niech każde spojrzenie na tę tablicę będzie przypomnieniem tragedii Polaków na wschodnich rubieżach Rzeczy-

spolitej, niech mówi o ich ofierze i poświęceniu, niech ostrze- ga przed uległością wobec często obecnej dzisiaj kłamliwej propagandzie! Niech wzbogacą naszą wiedzę historyczną niech budzi prawdziwy patriotyzm!

Niech świadczy o tym, że między podłością a wzniosłością przebiega ludzkie życie. „między bestialstwem a heroizmem” toczy się historia, a „Bóg pisze prosto po krzywych liniach” dzieje narodów.

Niech raz jeszcze przypomni nam prawdę objawioną na kartach Starego Testamentu: „Fundamenty ziemi należą do Pana, na nich On świat postawił i nie własną siłą człowiek zwycięża”. /ISm 2,10/

Wola przetrwania obecnych trudnych chwil w życiu Polski i niezłomna wiara Sybiraków w ostateczne zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości, niech nam ciągle przypomina, iż „Naród polski potrafi każdą klęskę przetrwać i uczynić z niej zaczyn przyszłego zwycięstwa”!

Przybyliśmy z Kresów Wschodnich

Dokładnie w 50. rocznicę przyjazdu do Bolesławca pierwszego transportu Polaków z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej — 17 września 1995 r. uroczystie odsłonięto pomnik Kresowiaków. Obelisk ustawiono na skwerze w pobliżu dworca PKP. Wmurowano urnę z ziemią z Wilna, Nowogródka, Lwowa, Stanisławowa i Drohobycza. Pomysłodawcą powstania pomnika był p. Adam Kowalski. Na uroczystości było wielu mieszkańców Bolesławca, m.in. p. Bronisław Wojciechowski, który przybył z rodzicami i rodzeństwem w jednym z pierwszych transportów ze Wschodu.

Podajemy podstawowy dokument — akt erekcyjny, który wyjaśnia sens społecznego przedsięwzięcia, wzbudzającego kontrowersyjne opinie lokalnych oszołomów.

Akt erekcyjny budowy i odsłonięcia pomnika Polaków przesiedlonych z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej.

W 50. rocznicę przybycia pierwszego kolejowego transportu Polaków przesiedlonych z Ziemi Drohobyckiej na polskie Ziemie Odzyskane — przekazujemy potomnym symbol naszego losu, naszej narodowej historii i martyrologii, naszej miłości do kraju lat młodości — najmilszego sercu i do naszej nowej Ojczyzny na ziemi piastowskich praojców.

To nasz życiowy testament pokolenia, które odchodzi.

Przesłanie dla dzieci i wnuków, którzy tutaj urodzili się, żyją, mają swoje domowe gniazda, którzy pozostaną na zawsze w dumnym grodzie nad Bobrem, który wydarliśmy wojennym ruinom i zgliszczom, odbudowaliśmy mazołem i pracą własnych dłoni, budowaliśmy sercem — jako symbol odradzającej się polskości, jako powrót Polski nad Odrę, Nysę i Bóbr po wiekach nieobecności.

Nie ma powrotu do marzeń i przeszłości. Okrutny czas wojny nie oszczędził nam cierpienia, upokorzenia, bólu po stracie najbliższych, grozy okupacji. Na zawsze pozostawiliśmy na Wschodzie rodzinne chaty i domy, ale nie czas na rozdrapywanie niezabliźnionych ran. Przybyliśmy tutaj, pozostaliśmy i będziemy. Naszą patriotyczną powinnością i serdecznym odruchem pozostaje wmurowanie w cokół tego surowego pomnika Kresowiaków ziemi ojczyńskich stron:



Tablica na bolesławieckim pomniku.

z polskich cmentarzy we Lwowie, Wilnie, Drohobyczu, Grodnie, Nowogródku i Stanisławowie, gdzie spoczywają na wieczność prochy naszych najbliższych. Winniśmy tę pamięć naszym przodkom. Niech trwa historia i pamięć o narodowych dziejach w niekończącej się sztafecie pokoleń.

Ten obelisk nie jest pomnikiem chwały i bohaterstwa. To symbol naszej pracy, naszego trwania, naszej służby dla Ojczyzny, Matki-Polski, naszego autentycznego patriotyzmu. Jest prosty i surowy — jak nasz los, nasze biografie osadników na zachodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

„Kiedy pamięć ludzka zawodzi — niech przemawiają kamienie” — pouczał nas Kardynał Tysiąclecia Stefan Wyszyński. Niech więc to dzieło i ten symbol zaświadcza o historycznej prawdzie, o trwaniu i przemijaniu, o potrzebie pracy i narodowego porozumienia ponad podziałami.

Niech będzie głośnym wołaniem o wielkość Polski i trwałą pokój w jednoczącej się Europie.

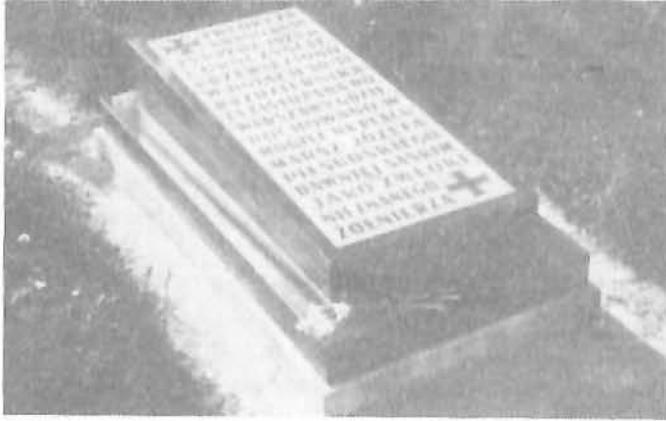
(Na podstawie „Głosu Bolesławca” i „Kurieria Lwóweckiego”)

Fotografię pomnika z Bolesławca zamieszczamy na naszej okładce.

Akademia

mgr Tadeusz Przybylski

Z okazji 70 Rocznic powstania Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Łodzi wspólnie z Łódzkim Domem Kultury zorganizowało w dniu 7.11.1995 uroczystą akademię poświęconą tej Rocznic. Uroczystość otworzył Prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-



Płyta w miejscu zebranych zwłok Nieznanego Żołnierza na Cmentarzu Orłąt we Lwowie (zdj. z 1939 r.).

Wschodnich w Łodzi p. prof. Bolesław Bolanowski, prorektor Politechniki Łódzkiej witając zebranych, wśród których byli przedstawiciele władz m. Łodzi i województwa powiedział, że ta rocznica ma szczególne znaczenie dla nas Polaków. Ten "Żołnierz Nieznany", który zginął za wolność naszej Ojczyzny został wybrany z grobu bezimiennych żołnierzy poległych w obronie Polskiego Lwowa. Omówienia genezy ustanowienia "Grobu Nieznanego Żołnierza" dokonał p. mgr Henryk Łabuński. Następnie odbyła się część artystyczna, w której wystąpili aktorzy Teatru Wielkiego Łodzi. Wiersze jak "Orlątko" Ottmana, "Nieznanego Żołnierza" Romany Gruber-Zychowej i inne recytował p. Marek Kołankowski przy akompaniamencie p. Adama Manijaka. Śpiewali p. Piotr Nowack — bas i p. Elżbieta Walaszczyk — sopran. W programie były między innymi pieśni o "Orletach", "Rozkwitały pęki białych róż". Na zakończenie odbyła się projekcja filmu Zbigniewa Kowalewskiego "Nekropol, rzecz o Grobie Nieznanego Żołnierza".

Cała uroczystość była bardzo udana i należałoby się cieszyć z tego, że dzięki niej wiele osób zapoznało się z historią "Naszej Narodowej Pamięci" jaką jest ten "Grób" i ten "Żołnierz Nieznany" pochodzący ze Lwowa.

PS.

Wszystkie takie obchody organizowane są przeważnie przez sympatyków Unii Wolności, o czym chciałem poinformować p. Danutę Nespiak!

Nasi Czytelnicy piszą

Czuję się w obowiązku zasilić Towarzystwo Miłośników Lwowa wspomnieniami, pamiątkami. Choć serce z bólu płacze... Wspomnienia są silniejsze, nie dopuszczają do zapomnienia. Wpadły mi w ręce numery „Semper Fidelis”. Lepiej, abym ich nie oglądała — przeżyłam swoją młodość, miłość i bolesne rozstania z mężem i ukochanym miastem.

„Semper Fidelis” — marzec-kwiecień 1994 r. (oczy popuchnęły z płaczu) czytam z dziejów szkoły PP, Benedyktyniek Łacińskich we Lwowie. Moje Gimnazjum. Posyłam zdjęcie z roku 1937. Ja siedzę na dole, naznaczyłam kropczkę na rękawie. Wszystkie piękne młode, nie przeczuwają czającego straszego losu. Następny numer „Semper Fidelis” to I (14) 1993 r. Wspomnienie „Mój pierwszy bal”. Byłam na komersie w XI Gimnazjum w 1937 r. z bratem (Maciejewski Bronisław) obecnie lekarz weterynarii w Zabierzowie k. Krakowa. On też był uczniem XI Gimnazjum. Prosił go o to mój chłopak Trojanowski Bronisław 4 od góry podkreślony. Miałam wtedy piękny warkocz. Prof. Brett poprosił mnie do walca, a mój warkocz

powiesił sobie na ramieniu. Bronisław Trojanowski późniejszy mój mąż był zachwycony. Pamiętam też — a byliśmy już wtedy w AK jak chłopcy jeździli do Stanisławowa (to powiedział mi w tajemnicy mój brat) w sprawie Profesora.



Mam już 75 lat, umęczona życiem i walką. Trzy lata temu byłam na zjeździe Gimnazjum w Krzeszowie, nie poznawałyśmy się po 50 latach. Byłyśmy piękne, młode, a teraz zjechały torby, siwe, grube, ale humor lwowianek towarzyszył nam na przemian ze łzami. (Maciejewska z domu) wyszłam za mąż za por. Trojanowskiego, wychowałam siedmioro dzieci, sześcioro synów i jedną córkę. Wszyscy (sześcioro) mają wyższe studia, tylko najmłodszy Wiktor ma wykształcenie średnie. Po świętach jak mi zdrowie dopisze, to mogę coś napisać na temat, który Was ciekawi.

Z poważaniem Trojanowska



Zjazdy Koleżeńskie Brzeżańczyków

Zbigniew Rusiński

Pierwszy koleżeński Zjazd odbył się w wielkiej tajemnicy i „kospiracyjnie” zwołany na 26 czerwca 1987 roku do Klodzka w 50 rocznicę matury 66 abiturientów Państwowego Gimnazjum im. Marszałka Polski Edwarda Śmigłego Rydza w Brzeżanach. Początkowo organizatorzy Zjazdu myśleli, że na to spotkanie po latach zjedzie dość pokaźna grupa byłych uczniów klas VIII a i VIII b z roku 1937.

Okres lat jaki przyczynił się do tak rozległej rozłąki, to czas wojny oraz przemieszczenie Brzeżańczyków z terenu Ziemi Wschodniej Rzeczypospolitej Polskiej po 1945 roku na Ziemię Odzyskane Zachodnie, że na to pierwsze powojenne spotkanie stawily się zaledwie 22 osoby, w tym umiłowany i serdeczny profesor, a zarazem Komendant Hufca ZHP Brzczań, Harcmistrz Rzeczypospolitej Władysław Janowski. Na ten nietypowy Zjazd stawila się jedna trzecia żyjących Kolegów. 15 Kolegów Żydów zginęło, zostali rozstrzelani na brzeżańskim kirkucie. 12 Kolegów to Ukraińcy, których los jest zupełnie nieznan. Kilku Kolegów zginęło w wojnie o Monte Cassino, Anconą, pod niebem Anglii, na dalekiej Syberii i z rąk UPA i NKWD.

Zjazd uprzytomnił wszystkim, że tego typu spotkanie, pod jakimkolwiek szyldem — harcerstwa, maturzystów, należy kontynuować, ale nie w zamkniętym gronie lat 1937-1939, lecz w poszerzonym składzie, tak by mieli dostęp młodszy, dzieci, wnuki i prawnuki Brzeżańczyków. By Zjazdy były wielopokoleniowe, dawały możliwość poznania tradycji, kultury Opola Podolskiego.

To pierwsze spotkanie rozpoczęto tradycyjnie Mszą św., którą odprawił kolega ks. Stasiu Urbański, który w tym czasie pełnił obowiązki proboszcza w Marcinkowicach koło Wrocławia. Po wspólnym biesiadnym śniadaniu rozpoczęto opowiadanie wspomnień z okresu gimnazjalnego, okupacji. Harcerskie spotkanie to przede wszystkim harcerski śpiew, harcerska gawęda. Odczytano kilka nadesłanych listów, którzy autorzy pragnęli być, lecz zdrowie i warunki rodzinne zatrzymały ich w domu.

I tu na Klodzkiem spotkaniu zapadła jednoznaczna decyzja — spotykamy się w tym składzie co roku, lecz w innym mieście.

W czerwcu 1988 roku Zjazd odbył się we Wrocławiu. Organizatorami byli Brzeżańczycy osiadli w tym przepięknym Piastowskim grodzie, który znany jest jako „Lwowski Wrocław”. Nawet obiegająca anegdota dobrodusznie mówi: zapytany wrocławianin o wschodnim akcencie — „czy pan ze Lwowa? nie, ta ja z Wrocławia, proszem pana”.

Spotkanie to odbyło się w seminarium duchownym przy ul. Katedralnej, które użyczyło pomieszczeń, a następnie zwiedzenie Panoramy Raclawickiej i wyjazd do Marcinkowic do Ks. Stasia Urbańskiego na tradycyjne ognisko, śpiew i okolicznościową gawędę Druha Hm. W. Janowskiego. Spotkanie to upamiętnione zostało zbiorową fotografią i kilkoma

okolicznościowymi pocztówkami wydanymi poza cenzurą z podobizną Marszałka E. Śmigłego Rydza, herbem Brzeżan, starymi pieczęciami harcerskich drużyn Brzeżan. Na to kospiracyjnie zwołane spotkanie stawilo się około 60 osób.

Lata 1989-1993 nie sprzyjały mobilizująco tego typu spotkaniom, mimo, że Związek Stryjan, Tarnopolan, Drohobyczan, Krzemieńca kontynuował spotkania w stałych miejscach jak: Kraków, Poznań, Częstochowa i Drohobycz. Brzeżańczycy po długich „debatach”, i to w skrytości, postanowili wreszcie zwołać Zjazd w dniach 28-30 czerwca 1993 roku w Ustroniu Śl. k. Skoczowa, i to dzięki Krysi Gryczyńskiej i Annie Kruczkiewicz. Na Zjazd zaproszono 129 Brzeżańczyków (bo tylu znanych było adresów). Na zjazd zjechało tylko 64 osoby. Atmosfera koleżeńskośći jaka zapanowała od pierwszej chwili, była serdeczna i iście brzeżańska. Zniknęły bariery wiekowe, przestała obowiązywać reguła „Pani — Pan”. Wszyscy mówili do siebie po imieniu, każdy balakał jakoby był w Brzeżanach. Spotkanie to po raz pierwszy stało się wielopokoleniowym. Ksiądz Stanisław był tylko Stasiem, wielcy pułkownicy tym razem byli: Staszkiem, Michałem, Zbyszkciem, nie było profesorów, panów doktorów itp. Były Wiesie, Krysie, Zosie, Ludki. Zjazd stał się „przypadkową” wycieczką przyjętą w przenośni na nasze Storożysko, domniemane Ruryska czy Zwierzyniec, a nawet do Krasnopuszczy. Przywdzialiśmy na te dwa dni brzeżańską skórę, co spowodowało, że niegdyś istniejący dystans wiekowy przestał zupełnie istnieć.

Tu, w Beskidzie Śląskim, Ustroniu, pagórkowatym i podobnym klimatycznie do Brzeżan postanowiono, by kolejny Zjazd odbył się w dniach 15-17 września 1994 roku w Jachrance nad zalewem Zegrzyńskim, w historyczną 55 rocznicę napadu ZSRR na Polskę. Zaproszono 165 osób, przybyło tylko 40. Ponad 30 osób nadesłało pozdrowienia. Ogromne wzruszenie wywarło spotkanie przy świecach i powitanie uczestników Zjazdu przez Mariana Grochala, organizatora tej imprezy. Niespodzianką spotkania było przybycie z Brzeżan Ks. Mieczysława Jakóbczyka, który po 48 latach objął w posiadanie parafię rzymską i fragment fary pw. św. Apostołów Piotra i Pawła. Ksiądz Mieczysław swym opowiadaniem przeniósł nas w stare niezapomniane kąty Brzeżan. Mówił o obecnych Brzeżanach, o trudnej pracy duszpasterskiej, misyjnej, o trudach dnia powszechnego. Zilustrował tą pracę wieloma zdjęciami. Kolejną atrakcją następnego dnia było spotkanie w Warszawie na Czerniakowie w kościele pw. św. Bonifacego przy klasztorze OO. Bernardynów, którzy przyjęli zlotowiczów okazałym transparentem „Witamy Brzeżańczyków”. Mszę św. odprawiono przy cudownym obrazie z wizerunkiem Matki Bożej Wniebowziętej z Dzieciątkiem z kościoła OO. Bernardynów z Fragi pow. Rohatyn jak i z Brzeżan z kościoła pw. św. Mikołaja. Nabożeństwo, cudowny Wizerunek Bogorodzicy oraz transparent spowodował przej-

mujący dreszcz i lzy. Po 50 latach rozłąki, każdy z nas mógł z bliska obejrzeć ten przepiękny wizerunek Czarnej Madonny Fraskiej. Wzruszenie i zaduma oraz zadawane pytania dotyczące nieznannej historii tego obrazu. Równocześnie zaczęto dopytywać o cudowny wizerunek św. Antoniego Padewskiego — patrona Brzeżan z kościoła OO. Bernardynów pw. św. Mikołaja w Brzeżanach, o krzyż dębowy z brązowym odlewem wizerunku Jezusa, jaki wykonał dla kaplicy zamkowej Sieniawskich w latach 1610, artysta Jan Pfister.

Po bernardyńskim spotkaniu na Czerniakowie, w ogródku Mariana podjęto wiele cennych inicjatyw, jak powołanie „Kola Brzeżańczyków” z zarządem w składzie: Jerzy Mikoszewski, Zbigniew Żuczkowski, Marian Grochal. Następnie postanowiono zorganizować mini sympozjum na temat historii Brzeżan, jeszcze w październiku 1994 roku na terenie Warszawy. Następny Zjazd zobowiązali się zorganizować Alfred Byczkowski i Adam Pantera na terenie Polanicy Zdroju w dniach 15-17 września 1995 roku. Polanica Zdrój mimo usilnych starań organizatorów przyjęła uczestników Zjazdu deszczem (a był to piątek). W godzinach popołudniowych pogoda poprawiła się i było nawet słonecznie. Na Zjazd, ku zmartwieniu organizatorów, przyjechało 126 osób z całej Polski. Miejscowych do których zaliczono Brzeżańczyków z Klodzka, Polanicy, Łądka Zdroju nie brano pod uwagę. Przyjechał też z Brzeżan Ks. Mieczysław Jakóbczyk, którego powitano oklaskami i piosenką „Sto lat”.

Pierwszego wieczornego spotkania przy śpiewnej mowie Brzeżańczyków nie sposób było zagłuszyć nawet radiowym wzmacniaczem. Każdy w podnieceniu mówił coraz głośniejszymi powitaniami nie było końca. Niektórzy po 50, a nawet 55 latach nie mogli się rozpoznać. Padaly ciągle urywane słowa, uściski i te same pytania: „czy poznajesz?”, a gdzie w Brzeżanach mieszkales?”, te chwile były wzruszające.

Zbyszek Żuczkowski zaimprovizował prelekcję o Brzeżanach, wyświetlając kilkanaście slajdów z charakterystycznymi widokami, które przypominały nasze młodzieńcze lata spędzone nad stawem, na majówce pod klasztorem OO. Bernardynów, tajemnicze wyprawy do zamku Sieniawskich. Specjalnie na to spotkanie napisał też wspaniałą piosenkę pt.

„Miasto Ukochane — Brzeżany, Brzeżany”, i zaprezentował śpiewając przy akompaniamencie gitary. Zbyszek Ruśński przy podkładzie melodii piosenki „Miasto Ukochane”, deklamował dwa swoje utwory: „W kaplicy zamkowej” i „Czy powrócisz w tamte strony”. Zebrani ogromnym aplauzem przyjęli ten artystyczny wieczór. Każdy chciał uzyskać od wykonawców tekst piosenki i poematów, by tam, gdzieś daleko w domu pokazać i pochwalić się przed znajomymi, że ponownie odżył duch starych Brzeżan. To wieczorne spotkanie trwało do godz. 24-tej i mimo, że wszyscy rozeszli się na spoczynek, biesiada trwała nadal w pokojach do wczesnych godzin rannych. Drugi dzień, to zwiedzanie kotliny Klodzkiej i przepięknego sanktuarium Maryjnego w Wambierzycach, następnie Duszniki Zdrój, Czermną, Kudowę. Wymiana adresów, zaproszeń na indywidualne spotkania, przeglądanie ocalałych albumów ze zdjęciami z poświęcenia sztandaru gimnazjalnego w 1937 roku, odsłonięcie popiersia Marszałka Edwarda Śmigłego Rydza. Wspomnienia z okresu wojny, Sybiru, Kazachstanu, z działalności w Armii Krajowej i akcji „Burza”. Niektórzy opowiadali zabawne historyjki o „belfrach”, okresu okupacji, wiele historyjek dramatycznych nie tylko wojennych ale i po 1945 roku. Niektóre koleżanki wspominały swe gimnazjalne sympatie i recytowały miłosne wierszyki do dziś pamiętane.

Trzeciego dnia w niedzielę, tym razem na godzinę siódmą, nie tak jak przed laty do Bernardyn na ósemkę, stawiliśmy się w kościele pw. Wniebowstąpienia Matki Bożej w Polanicy Zdroju na celebrowaną Mszę św., przez księży Antoniego Kupacza, proboszcza z Polanicy i ks. Mieczysława Jakóbczyka proboszcza Brzeżan. Liturgię Mszy św. odprawiono w intencji Brzeżańczyków, którzy dziś stawili się na to spotkanie, za zmarłych i za tych żyjących, którzy na Zjazd z różnych przyczyn nie stawili się.

Po śniadaniu koledzy Alfred i Adam w imieniu organizatorów pożegnali uczestników Zjazdu i przekazali symboliczną paleczkę Zjazdu dla Koleżanek z Wrocławia, Krysi Gryczyńskiej, Krysi Mróz i Ani Kruczkiewicz by w miesiącu czerwcu 1996 roku przygotowały podobną imprezę. A zatem do zobaczenia we Wrocławiu w 1996 roku.

Stryjski opłatek w Gliwicach

Wigilia

Jak potok krwi przebiega
Przez żyły,
Tak młodość, radość
Smutki i straty
Nagle odżyły
W pochodzie ludzkości...
I weszły z tobą w kamraty,
I tutaj „Sto lat”
A tam... lza cicha,
Tu twarze w kolorach
Tam... stajenka licha...
Tu kielich szampana

I wiał siarczysty,
Tam biedak w lachmanach
Ukrywa serce czyste...
Wchłania zapach jedliny
A rozmodlone wargi
Szukają Bożej dziecińcy
Tej ratunku łapczywie
By nie zginąć na dnie
I proszą żarliwie:
Boże! Spójrz na mnie...
Dziś Noc jest cudowna!
Tak krzew w sercu pisze...
Więc idę do Ciebie — do Stryja
„Wśród Nocnej Cizy”.

Stanisława Szychlińska (1964)



„Święta, Święta i po... Świętach”, jak mówi popularne porzekadło, a także po naszym corocznym „Stryjskim Oplatku”, który w tym roku urządziliśmy w sobotę w Święto Trzech Króli — 6 stycznia 1996 r. Duża, przestronna i jasna sala Technikum Kolejowego pomieściła gościnnie wszystkich, a przybyło ponad 100 osób. Mimo brzydkiej, zimowej pogody i ślizgawicy Oplatek zgromadził Stryjan nie tylko z Gliwic, ale także z Zabrze, Katowic, Bytomia, Tarnowskich Gór, Rybnika, Bielska, Pyskowic. Uroczystość rozpoczęła się wspólną modlitwą, którą poprowadził ksiądz proboszcz Józef Dyllus z parafii pod wezwaniem Chrystusa Króla i dziele niem się oplatkiem, potem, po komunikatach, nieuniknionych w takich okolicznościach, przy kawie i ciastkach zabrzmiały kolędy, intonowane wspaniałym basem przez Księdza Proboszcza, a oderwane nutki pastorałek uniosły się w górę, wyfrunęły przez uchylone okno i poszybowały daleko, daleko — do Stryja, gdzie zostały nasze serca...

Potem przy wspólnym tradycyjnym obiedzie, przy barszczu i rybce popłynęły wspomnienia o dawnych, spędzanych tam, na Wschodzie Świętach, gdzie zawsze było dużo bielutkiego śniegu, skrzypiącego pod nogami, który okrywał puszystą kolderką drzewa i pola, a choinki czyli DRZEW-

KA, jak się mówiło u nas na wschodzie, przystrojone czekoladowymi „od Heflingera” cackami, złożonymi orzechami, malutkimi czerwonymi jabłuszkami, własnej roboty z bibułki i słomki łańcuchami i prawdziwymi świeczkami pachniały balsamicznie. I jeszcze cukierki w kolorowych błyszczących papierkach, które kusily, kusily... A tajemnicze, kolorowo opakowane i związane czerwonymi lub zielonymi wstążeczkami prezenty pod drzewkiem, które można było rozpakować dopiero po Kolacji, kusily już od oplatka i przyciągały niespokojny, ciekawy dziecięcy wzrok... Wszystko to zostało tam, na wschodzie razem z naszym dzieciństwem i młodością...

A jednak... nie wszystko jeszcze za nami, bo gdy przybyły na Oplatek harmonista zagrał skoczne wschodnie melodie, nogi same się poderwały, a Stryjanie zapomniawszy o swoich codziennych kłopotach i rzuciwszy brzemię lat ochocho ruszyli w tany, wciągając do zabawy wszystkich. I byliby płasali do rana, gdyby... Ale to już inna historia. I to napawa optymizmem a także to, że nasz gliwicki Oddział Stryjan powiększył się znów o 15 osób. Tak trzymać, Kochani

I ja ta byłam...

Teresa Anna Jastrzębiec Olszańska

Od naszego Czytelnika, podpisującego się „Kresowiak”, mieszkającego chyba za linią jałtańską otrzymałem ciekawy list z 16 XI 1995. Porusza w nim wiele spraw: Będąc w Polsce pytał wszędzie o książkę Poliszczuka — ze swej strony wiem, że do Polski trafiło do tej pory mniej niż 100 egz. i to po bardzo wysokiej cenie (przeliczenie ceny dolarowej). Egzemplarze nie były sprzedawane w księgarniach, lecz tylko od osób, które bezpośrednio otrzymały je od autora.

Szanowny Czytelnik dziwi się, że nikt nie zagląda do przewodnika po Lwowie autorstwa B. Janusza — po prostu tylko kilka osób go posiada, ja sam również go nie mam.

Obraz M.B. Łaskawej jest u nas szeroko rozpowszechnio-

ny i bez trudu można go nabyć. Dziękuję też za ciekawą informację o odkupieniu starego, spalonego miasta — prosiłbym o więcej szczegółów, ale pod mój prywatny adres: Z. Ojrzyński, ul. Chalubińskiego 10, 50-368 Wrocław. Serdecznie Sz. Pana pozdrawiam.

Apel:

Kto wie lub znał, względnie ma materiały o mistrzu budowlanym, który konserwował rzeźby, pomniki na cmentarzach lwowskich, o którym też wspomina prof. S. Nicieja — jego nazwisko: Józef Bulanda, żonaty z Rozalią, zmarły we Lwowie w 1945 lub 1946 roku.

✠ Z żałobnej karty

Któż Go nie zna!

Władysław Rosyk

W ostatnich dniach listopada w uroczystym pogrzebie w kazimierzowskiej Katedrze we Lwowie pod kaplicą patrona Miasta błogosławionego Jakuba Strzemię złożono zwłoki zmarłego 23 XI 1995 r. sufragana archidiecezji lwowskiej ks. biskupa Władysława Kiernickiego — Ojca Rafała.

Trudno w krótkim nekrologu przedstawić sylwetkę tego wielce zasłużonego kapłana, społecznika, patrioty, więźnia sowieckich łagrów, kapelana Armii Krajowej.

Urodził się 3 maja 1912 r. w Kułaczkowcach koło Gwoźdzca, w ziemi stanisławowskiej. Po ukończeniu szkoły

średniej i studiów uniwersyteckich we Lwowie przyjął święcenia kapłańskie jako franciszkanin w czerwcu 1939 r.

W czasie pierwszej okupacji sowieckiej prowadził żywą akcję duszpasterską i charytatywną na terenie Lwowa i okolicy przy nasilającej się już ateizacji i walce z Kościołem.

Po przyjeździe Niemców do Lwowa O. Rafał rozszerzył



swą działalność o tajne nauczanie na kompletach oraz włączył się do konspiracji w AK. Pod pseudonimem „Dziunio” działał w Komendzie Okręgu III Obszaru kierując wydziałem łączności, pocztą akowską obsługiwaną przez łączniczki z Szarych Szeregów oraz pełnił funkcję kasjera Komendy Miasta AK.

Powrót sowietów do Lwowa — to perfidne aresztowanie 31 lipca 1944 r. członków Komendy Miasta AK przez gen. Iwanowa (NKWD) w tym również O. Rafała. Po przesłuchaniach na Łąckiego został wywieziony początkowo do Charkowa, a następnie do lagru w Riazaniu i Griazowcu, gdzie w nieludzkich warunkach przebywał do marca 1948 r. Jego postawa, pomoc duchowa i serdeczność w lagrze krzepiły współwięźniów, pomagają w przetrwaniu katongi.

Po powrocie do Lwowa zaczął pracować w Katedrze łacińskiej, jedynym w tym czasie czynnym kościele katolickim.

Wkrótce też, bo 1965 r. O. Rafał został urzędowo odsunięty od możliwości sprawowania funkcji kapłańskich. Podjął wtedy pracę dozorcę w parku i stróża nocnego w sanatorium na Holosku. W 1972 r. wrócił do pracy w katedrze, która stała się ośrodkiem pieczy duchowej nie tylko rzymsko-katolików lecz również dla wyznawców kościołów wschodnich. Ojciec Rafał wielokrotnie wyjeżdżał w odległe rejony Ukrainy i Wołynia celem niesienia słowa bożego i niesienia posługi duszpasterskiej wiernym obrządku łacińskiego i grekokatolickiego.

W 1989 r. odwiedził Kraków — była to 50. rocznica święceń kapłańskich. 16 stycznia 1991 r. papież Jan Paweł II podniósł Go do godności biskupa pomocniczego archidiecezji lwowskiej. W czasie pielgrzymki Ojca św. do Ojczyzny, w której Papież odwiedził skrawek dawnej archidiecezji lwowskiej w Lubaczowie w dniu 3 czerwca 1991 r. zwrócił się do przybyłego wraz z ks. Arcybiskupem Lwowa Metropolita Marianem Jaworskim i biskupami z Ukrainy O. Rafała ze znamienym powitaniem: „Któż Go nie zna — Ojciec Rafał! Przez tyle lat, dziesięcioleci, przez tyle cierpień i upokorzeń wierny stróż tego skarbu, tego znaku tożsamości Kościoła, jakim jest prastara lwowska katedra łacińska”. Ojciec Rafał — Człowiek-instytucja za swą pracę został wielokrotnie uhonorowany: nagrodą im. Włodzimierza Pietrzaka, złotym medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, odznaką Zasłużonego dla Kultury Polskiej, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem II Obrony Lwowa, Złotym Krzyżem za usługi z Mieczami. W 80. rocznicę urodzin Ojca Rafała ks. Abp Metropolita Marian Jaworski w kilku zdaniach wspamiętnił sylwetkę i zasługi Dostojnego Solenizanta: „Stał się Wszystkim dla wszystkich. Stał się Ojcem wielu narodów”. To też gdy przestało bić serce tego wielkiego Kapłana na Jego pożegnanie przybyły z wielu krajów delegacje hierarchów kościelnych, oficjalne delegacje państwowe oraz tłumy wiernych, którym Ojciec Rafał przez całe życie służył.

18 października 1995 r. odszedł od nas



Śp. prof. dr hab. Józef Zbigniew Damm

Syn Ziemi Lwowskiej, urodzony 20 marca 1924 r. w Kaluszu, profesor zwyczajny w Instytucie Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN we Wrocławiu, wychowanek VIII Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego we Lwowie, harcerz I Lwowskiej Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, długoletni kierownik Zakładu Fizyki Defektów Sieciowych, organizator wielu międzynarodowych konferencji naukowych z zakresu fizyki defektów sieciowych, wychowawca kilku pokoleń naukowców w dziedzinie fizyki i chemii, naukowiec o dorobku naukowym światowego poziomu, członek Kręgu b. Skautów - Harcerzy Najstarszej Polskiej Drużyny Harcerskiej I Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki, wyróżniony licznymi wysokimi odznaczeniami,

do końca życia zamilowany w pięknie, kulturze i historii Lwowa i Ziemi Lwowskiej. Spoczął w dniu 24 października 1995 r. na Cmentarzu Grabiszyńskim na Ziemi Wrocławskiej, która zastąpiła Mu Ziemię Lwowską.

Cześć Jego pamięci!

Józef Jagiełło

Z głębokim żalem zawiadamiam, że dnia 11 listopada 1995 roku zmarł we Lwowie Józef Jagiełło, żołnierz Armii Krajowej ps. „Bari”, wieloletni więzień obozów stalinowskich. Śp. Józef Jagiełło, rocznik 1918, był synem Michała st. sierż. WP pracującego do 1939 roku w Składnicy Uzbrow-

ienia Nr VI w Holosku Wielkim pod Lwowem. Po ukończeniu XII gimnazjum podjął studia na Politechnice Lwowskiej. Niestety wojna nie pozwoliła mu kontynuować studiów. W 1943 roku włączył się w działalność konspiracyjną w AK. Ukończył szkołę podchorążych w stopniu plut. pchor., pełnił

funkcje d-cy drużyny i plutonu w 2. kompanii 26 pp. ppor. J. Bissa w rejonie Janów i Siemianówka k. Lwowa. Uczestniczył w odbiorze zrzutów lotniczych, akcjach dywersyjno-sabotażowych przeciwko wojskom hitlerowskim i w obronie polskich wsi przed szowinistami OUN-UPA. W sierpniu 1944 roku, po akcji „Burza” wraz z grupą ochotników podjął marsz do Powstania Warszawskiego. Na trasie marszu był wielokrotnie zatrzymywany i kontrolowany przez formacje NKWD, a w końcu pod Urzędowem w pow. Kraśnik został aresztowany. W listopadzie 1944 roku został wywieziony do łagrów stalinowskich Nr 270 w Borowiczach, a w 1946 roku do Łagrów Baltyn Nr 531 pod Świerdłowskiem. Szczęśliwie przetrwał piekło łagrów. Zwolniony w 1948 roku powrócił do rodzinnego Lwowa. Ojca już nie zastał, jedynie matka

otoczyła go opieką. Podjął studia od początku na Lwowskim Instytucie Poitechnicznym (Politechnika Lwowska). Był kilkakrotnie wzywany na wielogodzinne przesłuchania do komendantury NKWD, które przeszedł zwycięsko. Ukończył studia i został zaangażowany na uczelni jako pracownik naukowo-dydaktyczny, pracował tam przez ponad trzydzieści lat. Pomimo szerokiej wiedzy jaką posiadał i którą imponował na uczelni, pozostał do zasłużonej emerytury tylko starszym wykładowcą. W swojej pracy otaczał przyjacielską opieką młodzież pochodzenia polskiego. Pozostawił po sobie pamięć człowieka kulturalnego, nadzwyczaj uczynnego, a przy tym skromnego, dobrze prezentującego polskość we Lwowie. Cześć Jego pamięci!

ppor. AK dr E. Jaworski

23 grudnia 1995 r. odeszła od nas po długiej i ciężkiej chorobie lwowianka

Śp. Romana Zychowa

— więzień sowieckiego łagru w Donbasie. Jej wiersze publikowaliśmy w SF. Pisała dużo do szuflady, a bogate zbiory leopolianów zostawiła swej córce p. Małgorzcie Raczyńskiej. Będzie Jej nam zawsze brakować — cześć Jej pamięci!



23 grudnia 1995 r. zmarła

Śp. Teresa Maria Matylda Firich-Żmudzińska

córka inż. Antoniego Firicha, zesłańca łagrów sowieckich i Jadwigi z d. Matkowskiej. Lekarz medycyny. Żołnierz AK, łącznika 11 Dywizji AK Okręgu Lwowskiego. Odważna, skromna, nawet nie wyraziła zgody na umieszczenie Jej nazwiska i wyszczególnienie Jej działalności w poprzednim numerze SF o „białych kurierach i bazie Romek” w Nadwórnej. „Tereska” pozostanie na zawsze w naszej pamięci!



19 stycznia 1996 r. odszedł od nas

Śp. prof. dr inż. Marek Zakrzewski

urodzony 13 czerwca 1923 r. we Lwowie, w rodzinie od pokoleń związanej z Małopolską Wschodnią, profesor zwyczajny Politechniki Wrocławskiej, wychowanek VIII Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego we Lwowie, harcerz najstarszej polskiej drużyny harcerskiej I Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki, uczestnik obrony Lwowa w 1939 r., jako kpr. podchorąży AK brał udział w ramach akcji BURZA w wyzwoleniu Lwowa w lipcu 1944 r., wychowanek Politechniki Lwowskiej, od 1946 r. związany z Politechniką Wrocławską, współorganizator Katedry Elementów Maszyn, długoletni organizator i dyrektor Instytutu Materiałoznawstwa i Mechaniki Technicznej, wieloletni dziekan Wydziału Mechanicznego, wychowawca wielu naukowców i licznych rzesz inżynierów, szczególnie zasłużony dla Politechniki Wrocławskiej, przewodniczący Kręgu b. Skautów - Harcerzy Najstarszej Polskiej Drużyny Harcerskiej I Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki, wyróżniony licznymi odznaczeniami, w tym Krzyżem II Obrony Lwowa, Lwowianin wielkiego serca i umysłu.



Cześć Jego pamięci!

CONTENTS

- p. 1 — Danuta Nespiak
To Mrs. Krystyna Wojciechowska — with compliments and thanks for patriotic education of her pupils.
- p. 2 — Władysław Śledziński
Pre-war journalist reports on his underground activity in Lwów during Soviet occupation (continued).
- p. 5 — Konrad Sura
The first meeting of Polish school youth with the Soviet educational system in 1939.
- p. 6 — Jerzy Makowski
Defense of Borderland.
- p. 7 — Kazimierz Sawicki
Description of political and conspiratorial situation in Lwów in the years 1941-1943.
- p. 9 — Leopold Swadowski
How a Pole can regain his nationality?
- p. 10 — Janina Kondziola
A Lwów girl scout recollections of her underground activity during the war.
- p. 11 — Leon Popek
The Lwów press under occupation — an archival copy of underground „Słowo Polskie” found in Lublin.
- p. 12 — Krystyna Gorczyńska
Letters from people deported in February 1940 deep into Asiatic Russia.
- p. 16 — Jerzy Masior
A poem.
- p. 17 — Władysława Dyrzc
Rev. Bela Varga — the Hungarian friend of Poles during World War II.
- p. 18 — Stanisław Ciesielski
Vicissitudes of Poles deported to Kazakhstan.
- p. 19 — Danuta Tabińska-Juhasz
Charitable action for the benefit of Poles in Lwów in the last Christmas time.
- p. 20 — Ludwika Castori-Dąbrowska
My lovers — recollections of the theatre life in Lwów before and during the war (end).
- p. 22 — Zdzisław J. Zieliński
Two photographs — a tale of Jew pupils at a Lwów school.
- p. 25 — Tadeusz Dobrzański
Criticism of a Polish TV historical programme.
- p. 26 — Tomasz M. Zabiega
A student of American SIUC writes about his warm feelings towards Lwów and the South-East Borderland.
- p. 29 — J. Dereń de Cornelian
The Podolia sonnets.
- p. 30 — Rafał Żebrowski
A review of L. Szulc's book of small borderland towns.
- p. 31 — Remigiusz Węgrzynowicz
A review of the book „The Borderland”.
- p. 32 — Z. Ojrzyński & D. Nespiak
A review of the book „The Borderland”.
- p. 33
Unveiling of the Plate in Commemoration of Lwów Defenders in Katowice.
- p. 33 — Rev. Stanisław Turkowski
Unveiling of the Monument in Commemoration of Poles deported to Siberia at Oborniki Śląskie.
- p. 34
Unveiling of the Monument in Commemoration of Poles exiled from the South-East Borderland to Bolesławiec.
- p. 35 — Tadeusz Przybylski
A solemn meeting in commemoration of the 70th anniversary of the Tomb of an Unknown Soldier.
- p. 35 — Mrs. Trojanowska
A letter to the Editor.
- p. 36 — Zbigniew Rusiński
Gauday-day of the former Brzezany inhabitations.
- p. 37 — Anna Jastrzębiec Olszańska
Christmas meeting of the former Stryj inhabitants at Gliwice.
- p. 38
An appeal of a reader from Ukraine.
- p. 38 — Władysław Rosyk
A paragraph about bishop Władysław Kiernicki.
- p. 38
Obituary Column.

Lista Ofiarodawców

w m-cu XI-XII 1995

Władysław Klimek, Bielsko Biala	10.-	Andrzej Borzemski, Wrocław - Pomoc świąteczna	300.-
Zofia Bielańska, Cibórz	20.-	Jan Hupałowski, Wrocław	5.-
Alicja Misiak, Luboń	15.-	Adam Akielaszek, Głogów	10.-
W.A. Podoleccy, Kielce	20.-	Stanisław Kozuła, Suwałki	20.-
Mieczysław Wilczyński, Katowice	20.-	Maria Jońca, Gliwice	22.-
Jarosław Bułat, Katowice	20.-	Władysław Hachmicki, Wrocław	
Edward Adles, Kraków	6.-	Pomoc świąteczna	10.-
Władysław Andruszyszyn, Bolesławiec Śl.	14.-	Mieczysław Pitula, Wrocław	10.-
Jerzy Klementowski, Mielec	6.-	Krystyna Zagrodcka, Wrocław - Pomoc świąteczna	20.-
Władysław Nowicki, Kozuchów	8.-	Teresa Maczocka, Wrocław - Pomoc świąteczna	10.-
Wanda Klimkowicz, Szczawnica	34.-	Saturnin Wasielewski, Gostyń	20.-
Andrzej Hanuszewski, Pyskowice	60.-	Józef Bieńko, Stalowa Wola	25.-
Mieczysław Sterkowski, Hrubieszów	10.-	Włodzimierz Tomyn, Warszawa	50.-
Stanisław Tarnawski, Poznań	20.-	Stanisław Mossoczy, Bielsko Biala	20.-
J.R. Mackowscy, Kudowa Zdrój	25.-	Piotr Klich, Przemyśl	100.-
TMLiKPW, Oddz. Koszalin - Pomoc świąteczna	120.-	A.T., USA	242.65 (100 USD)
Andrzej Niesiołowski, Warszawa	10.-	Stanisław Piela, Rzeszów - kościół w Przemyslanach	20.-
Kazimierz Hrynyk, Gdańsk Wrzeszcz	12.-	J.J. Starzeczy, Wrocław	20.-
Stanisław Zaguła, Węglówka	20.-	Maria Żurowska-Gangi, Toruń	10.-
Janina Bradecka, Gliwice	48.-	Nadina Tyzenhauz-Pietruska, Kraków	
Bronisław Ostrowski, Wrocław	10.-	kościół w Przemyslanach	20.-
Antoni Turczyniak, Goleszów	25.-	TMLiKPW, Oddz. Bolesławiec	
Stanisław Góral, Jasień	10.-	Cmentarz Orłat Lwowskich	1000.-
Dr M. Gubrynowicz, Sopot	30.-	TMLiKPW, Klub Terenowy w Kępnie Rychtal	
J.T., USA	2.497.40 (1000 USD)	Fundusz Lwowski	2,76
Stefania Rusek, Jasień - Pomoc świąteczna	10.-	Stanisław Szachnowski, Bierutów	10.-
Henryk Pokrzywa, Wrocław	5.50	Jadwiga Diug, Wrocław	7.-
Michał Bazylów, Wrocław - Pomoc świąteczna	35.-	Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej	
Ks. Alfred Pierzchała, Czarnożyły		na odbudowę Cmentarza Orłat Lwowskich	77.-
Pomoc świąteczna i Cmentarz Lyczakowski	150.-	Franciszka Gigiel, Strzelin Pomoc świąteczna	15.-
Julian Jemiołek, Poddębice - Pomoc świąteczna	10.-	Związek Karpatczyków, Londyn	191, 23 (£ 50,00)

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania.

Od Wydawcy

☞ Zarząd Fundacji Kresowej "Semper Fidelis" składa serdeczne podziękowania wszystkim, którzy o nas pamiętali i przysłali nam wraz z życzeniami świątecznymi wiele miłych i życzliwych słów, takich jak np.: "...aby dzieło waszej szlachetnej Fundacji nieustannie się rozwijało, kwitło i owocowało w nadchodzącym 1996 roku i zawsze ku pamięci rodaków, dla dobra kultury i dziejów ojczystych na chwałę Rzeczypospolitej" (napisał nasz Czytelnik p. E. Cimek z Izbicy).

☞ Zarząd Fundacji również dziękuje za paczki gwiazdkowe dla polskich dzieci przyniesione do siedziby Fundacji, oraz za datki pieniężne, za które zostały zakupione słodycze do paczek dla polskich przedszkoli we Lwowie (podziękowania ze Lwowa wewnątrz pisma).

Dziękujemy również wszystkim wrocławskim redakcjom mass-mediów za bezinteresowne ogłaszanie naszych apeli o gwiazdkową pomoc charytatywną dla Rodaków za wschodnią granicą.

☞ Powiadamy naszych Czytelników, że w roku 1996 dwumiesięcznik SEMPER FIDELIS nieznacznie zdrożeje. Od numeru 1/30 będzie kosztować w cenach detalicznych 2,50 zł, a w cenach hurtowych 2,00 (tj. dla Oddziałów i Klubów TML i KPW oraz dla księgarń).

Prenumerata pozostaje na rok bieżący za SEMPER FIDELIS w wys. 18,00 zł

za Gazetę Lwowską - w wys. 15,00 zł

za Dziennik Kijowski - w wys. 15,00 zł

☞ Przypominamy, że pierwszy numer „Semper Fidelis” ukazał się na przełomie roku 1989/90. Po 6 latach wydajemy właśnie numer 30 — styczeń-luty 1996.

Z tej okazji należy się uznanie za duży społeczny wkład pracy redaktora naczelnego Zdzisława Ojrzyńskiego i współpracujących z nim osób.

W imieniu Zarządu Fundacji Kresowej Semper Fidelis

Dyrektor

mgr Danuta Tabińska-Juhasz